

Alessandro Baricco

jedwab

przełożyła
Halina Kralowa

2007

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Seta

Data wydania:

1996

Wydanie polskie

Data wydania:

2007

Numer wydania:

IV

Opracowanie graficzne:

Agnieszka Stando

Przełożyła:

Halina Kralowa

Wydawca:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

ul. Wiejska 12a 00-490 Warszawa

<http://www.czytelnik.pl>

ISBN 978-83-07-03097-5

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

To nie jest powieść. Ani nawet opowiadanie. To pewna historia. Zaczyna się od mężczyzny, który przemierza świat, a kończy jeziorem w wietrzny dzień. Mężczyzna nazywa się Hervé Joncour. Jak się nazywa jezioro, nie wiadomo.

Można by powiedzieć, że jest to historia miłosna. Ale gdyby tylko o to chodziło, nie warto byłoby opowiadać. Są tu pragnienia i cierpienia, które znasz dobrze, ale nie znajdujesz słowa zdolnego je wyrazić. W każdym razie nie jest to słowo *miłość*. (To znana sprawa. Kiedy nie potrafisz wyrazić czegoś jednym słowem, posługujesz się całą historią. Tak się to robi. Od wieków).

Każda historia ma swoją muzykę. Ta ma muzykę białą. Trzeba to koniecznie powiedzieć, bo biała muzyka jest muzyką dziwną, czasami cię zaskakuje: gra się ją cicho i tańczy powoli. Jeśli jest dobrze grana, masz wrażenie, że słyszysz muzykę ciszy, a znakomici tancerze wydają ci się nieruchomi. Biała muzyka jest czymś diabelnie trudnym.

To właściwie wszystko. Należałoby może wyjaśnić, że jest to historia dziewiętnastowieczna: aby nikt nic spodziewał się samolotów, pralek i psychoanalityków. Nie ma ich tutaj.

Może innym razem.

Alessandro Baricco

1

Chociaż ojciec wymarzył sobie dla niego błyskotliwą karierę wojskową, Hervé Joncour zarabiał na życie, uprawiając zawód niezwykły, któremu nieobcy był, jak na ironię, pewien rys tak wdzięczny, że określić by go można w pewnym sensie jako wręcz k o b i e c y .

By zarobić na życie, Hervé Joncour kupował i sprzedawał jedwabniki.

Był rok 1861. Flaubert pisał *Salammbô*, światło elektryczne było dopiero hipotezą, a Abraham Lincoln, po drugiej stronie oceanu, prowadził wojnę, której końca nie miał nigdy zobaczyć.

Hervé Joncour miał 32 lata.

Kupował i sprzedawał.

Jedwabniki.

2

Ściśle mówiąc, Hervé Joncour kupował i sprzedawał jedwabniki, gdy były one jeszcze maleńkimi jajeczkami w kolorze żółtym i szarym, nieruchomymi i pozornie martwymi. Na jednej dłoni mieściło się ich tysiące.

„To właśnie znaczy mieć w ręku fortunę”.

W pierwszych dniach maja jajeczka pękały i wychodziły z nich larwy, które po trzydziestu dniach szaleńczego żerowania na liściach morwy zamykały się znowu w kokonie, a w dwa tygodnie później opuszczały go ostatecznie, zostawiając majątek równy tysiącu metrom surowej nici jedwabnej i ładnej sumce franków francuskich: zakładając, że wszystko odbyło się należycie i, jak w przypadku Hervé Joncoura, gdzieś na południu Francji.

Miasteczko, w którym mieszkał Hervé Joncour, nazywało się Lavilledieu.

Jego żona – Hélène.

Nie mieli dzieci.

3

Dla uniknięcia szkód związanych z epidemiami, jakie coraz częściej nawiedzały hodowle europejskie, Hervé Joncour wyprawiał się po jajeczka na drugi brzeg Morza Śródziemnego, do Syrii i Egiptu. W tym tkwił łączący się z jego pracą element czystej przygody. Wyruszał co roku, na początku stycznia. Przemierzał tysiąc sześćset mil morza i osiemset kilometrów lądu. Wybierał jajeczka, uzgadniał cenę, kupował. Po czym odwracał się, przemierzał osiemset kilometrów lądu i tysiąc sześćset mil morza i wracał do Lavilledieu, na ogół w pierwszą niedzielę kwietnia, na ogół w samą porę, by zdążyć na sumę.

Pracował jeszcze przez dwa tygodnie, by popakować i sprzedać jajeczka.

Przez resztę roku odpoczywał.

4

– Jaka jest Afryka? – pytano go.

– Męcząca.

Miał duży dom tuż za miastem i małe laboratorium w centrum, dokładnie naprzeciwko opuszczonego domu Jeana Berbecka.

Jean Berbeck postanowił któregoś dnia, że przestanie mówić. I dotrzymał obietnicy. Żona i dwie córki opuściły go. A on umarł. Jego domu nikt nie chciał, pozostał więc pusty.

Kupując i sprzedając jedwabniki, Hervé Joncour zarabiał co rok wystarczająco dużo, by zapewnić sobie i żonie te wygody, które na prowincji uważane są za luksusy. Korzystał z umiarem ze swego majątku i niepozbawiona podstaw perspektywa, że stanie się kiedyś człowiekiem naprawdę bogatym, była mu najzupełniej obojętna. Należał zresztą do tych ludzi, którzy, uznając za niewłaściwą wszelką chęć p r z e ż y w a n i a własnego życia, lubią mu po prostu a s y s t o w a ć .

Widać patrzą oni na swój los w taki sposób, w jaki większość ludzi patrzy na deszczowy dzień.

5

Gdyby ktoś go o to zapytał, Hervé Joncour odpowiedziałby, że jego życie zawsze toczyć się będzie w taki sposób. Na początku lat sześćdziesiątych jednak epidemia pebryny, która uczyniła niezdawnymi do użytku jajeczka z hodowli europejskich, przeniosła się również za morze, do Afryki, a zdaniem niektórych nawet do Indii. W 1861 roku Hervé Joncour wrócił ze swojej zwykłej podróży z zapasem jajeczek, które po dwóch miesiącach okazały się prawie w całości zarażone. Dla Lavilledieu, jak i dla wielu innych miast, ciągnących wielkie zyski z produkcji jedwabiu, rok ten zdawał się oznaczać początek końca. Nauka nie była w stanie zrozumieć przyczyn epidemii. I cały świat, po najdalsze regiony, zdawał się więźniem tego niepojętego złego czaru.

– P r a w i e cały świat – powiedział cicho Baldabiau. – P r a w i e – dolewając na dwa palce wody do swojego pernodu.

6

Baldabiou to człowiek, który przed dwudziestu laty wszedł do miasteczka, skierował się prosto do biura burmistrza, niezapowiedziany wkroczył do gabinetu, położył na biurku szal z jedwabiu w kolorach nieba o zachodzie i zapytał

- Wie pan, co to jest?
- Coś dla kobiet.
- Myli się pan. Coś dla mężczyzn: pieniądze.

Burmistrz kazał go wyrzucić. Baldabiou w dole rzeki wybudował przędzalnię, pod osłoną lasu wielką szopę do hodowania jedwabników, a przy skrzyżowaniu z drogą do Vivier kościółek pod wezwaniem świętej Agnieszki. Zatrudnił prawie trzydziestu robotników, sprowadził z Włoch tajemniczą drewnianą maszynę, składającą się z samych kół i trybów i przez siedem miesięcy nie odezwał się więcej. Potem wrócił do burmistrza i położył na biurku trzydzieści tysięcy franków w starannie posegregowanych banknotach o dużych nominałach.

- Wie pan, co to jest?
- Pieniądze.
- Myli się pan. To dowód, że jest pan głupcem.

Po czym zebrał je, wsunął do torby i ruszył ku wyjściu.

Burmistrz zatrzymał go.

- Co, u diabła, powinienem zrobić?
- Nic: będzie pan burmistrzem bogatego miasta.

W pięć lat później Lavilledieu miało siedem przędzalni i stało się jednym z głównych ośrodków europejskich hodowli jedwabników i produkcji jedwabiu. Nie wszystko to należało do Baldabiou. Inni znaczący obywatele i właściciele ziemscy rzucili się jego śladem w tę ciekawą przygodę przemysłową. Baldabiou bez żadnych ceregieli odkrywał przed każdym tajemniki zawodu. Bawiło go to o wiele bardziej niż robienie pieniędzy. Uczyć. Znać sekrety, które można przekazać innym. Taki to już był człowiek.

7

Baldabiu był także człowiekiem, który przed ośmiu laty odmienił życie Hervé Joncoura. Były to czasy, gdy pierwsze epidemie zaczęły niszczyć produkowane w Europie jajeczka jedwabników. Nie tracąc zimnej krwi, Baldabiu przemyślał sytuację i doszedł do wniosku, że problemu nie trzeba rozwiązywać: trzeba go obejść. Miał pomysł, brakowało mu tylko odpowiedniego człowieka. Zdał sobie sprawę, że go znalazł, gdy ujrzał Hervé Joncoura przechodzącego przed kawiarnią Verduna, w eleganckim mundurze podporucznika piechoty, dumnym krokiem wojskowego na urlopie. Miał wówczas 24 lata. Baldabiu zaprosił go do domu, rozłożył przed nim atlas pełen egzotycznych nazw i powiedział

– Gratuluję. Nareszcie, chłopcze, znalazłeś poważne zajęcie.

Hervé Joncour wysłuchał całej historii o jedwabnikach, jajeczkach, piramidach i podróżach statkiem. Po czym rzekł

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Za dwa dni kończy mi się urlop, muszę wracać do Paryża.

– Kariera wojskowa?

– Właśnie. Tak chciał mój ojciec.

– To nie problem.

Zabrał Hervé Joncoura i poszedł z nim do ojca.

– Czy wie pan, kto to jest? – zapytał, wszedłszy do gabinetu niezapowiedziany.

– Mój syn.

– Proszę mu się przypatrzeć.

Burmistrz opadł na oparcie swego skórzanego fotela i zaczął się pocić.

– Mój syn Hervé, który za dwa dni wróci do Paryża, gdzie czeka go wspianała kariera w naszej armii, jeśli Pan Bóg i święta Agnieszka pozwolą.

– Właśnie. Tylko że Pan Bóg zajęty jest czymś innym, a święta Agnieszka nienawidzi wojskowych.

Miesiąc później Hervé Joncour wyruszył do Egiptu. Płynął statkiem, który nazywał się „Adel”. Do kabiny docierały kuchenne zapachy, pewien Anglik opowiadał, jak walczył pod

Waterloo, trzeciego dnia wieczorem ujrzeli delfiny połyskujące na horyzoncie jak pijane fale, w ruletce wychodziła stale szesnastka.

Wrócił po dwóch miesiącach – w pierwszą niedzielę kwietnia, w samą porę, by zdążyć na sumę – z tysiącem jajeczek ułożonych ostrożnie w dwóch wielkich drewnianych pudłach. Miał mnóstwo rzeczy do opowiedzenia. Ale kiedy zostali sami, Baldabiau poprosił

– Opowiedz mi o delfinach.

– O delfinach?

– O tym, jak je zobaczyłeś.

Taki był Baldabiau.

Nikt nie wiedział, ile ma lat.

8

– P r a w i e cały świat – powiedział cicho Baldabiau. – P r a w i e – dolewając na dwa palce wody do swojego pernoda.

Sierpniowa noc, po północy. O tej porze zazwyczaj Verdun zdążył już dawno zamknąć. Krzesła, nogami do góry, tkwiły porządnie na stołach. Bufet i cała reszta były umyte. Tylko zgasić światło i zamknąć. Ale Verdun czekał: Baldabiau mówił.

Siedzący naprzeciw niego Hervé Joncour, ze zgaszonym papierosem w ustach, słuchał nieruchomo. Tak samo jak osiem lat temu czekał, aby ten człowiek wytyczył mu szczegółowo przyszłe koleje losu. Jego głos docierał do niego cichy i wyraźny, przerywany od czasu do czasu łykami pernoda. Minuty płynęły, a on nie przestawał mówić. Na zakończenie powiedział

– Nie ma wyboru. Jeśli chcemy przeżyć, musimy tam dotrzeć.

Milczenie.

Verdun, oparty o ladę, podniósł na nich wzrok.

Baldabiau próbował znaleźć ostatni łyk pernoda na dnie kieliszka.

Hervé Joncour położył papierosa na brzegu stołu i zapytał

– A gdzie jest właściwie ta Japonia?

Baldabiau uniósł laskę i skierował ją w stronę dachów Saint-Auguste.

– Prosto przed siebie. W tamtą stronę.

Powiedział.

– Na samym końcu świata.

9

Japonia w owych czasach była istotnie na drugim końcu świata. Była wyspą złożoną z wysp i przez dwieście lat żyła w całkowitym odosobnieniu, z dala od reszty ludzkości, odmawiając jakiegokolwiek kontaktu z kontynentem i zakazując wstępu wszelkim cudzoziemcom. Wybrzeże chińskie oddalone było o prawie dwieście mil, ale dekret cesarski, zabraniający na całej wyspie budowy łodzi, które miałyby więcej niż jeden maszt, sprawił, że stało się ono jeszcze bardziej odległe. Zgodnie z logiką, na swój sposób rozsądną, prawo nie zabraniało zresztą opuszczać ojczyzny: tyle że ci, którzy próbowali do niej wrócić, skazywani byli na śmierć. Kupcy chińscy, holenderscy i angielscy starali się wielokrotnie przerwać tę absurdalną izolację, ale udało im się jedynie doprowadzić do powstania wątlej i niebezpiecznej sieci kontrabandy. Przyniosło im to niewiele pieniędzy, dużo kłopotów i parę legend, takich, jakie opowiada się wieczorami w portach. Tam, gdzie oni ponieśli klęskę, sukces, dzięki sile swojej broni, odnieśli Amerykanie. W lipcu 1853 roku komandor Matthew C. Perry wpłynął do zatoki Jokohamy z flotyllą nowoczesnych parowców i przekazał Japończykom ultimatum, w którym „wyrażał nadzieję”, że wyspa otwarta zostanie dla cudzoziemców.

Japończycy nigdy jeszcze nie widzieli statku, który zdolny byłby płynąć morzem pod wiatr.

Siedem miesięcy później, kiedy Perry wrócił po odpowiedź na swoje ultimatum, wojskowe władze wyspy zgodziły się podpisać układ zatwierdzający otwarcie dla cudzoziemców dwóch portów na północy kraju i nawiązanie pierwszych, ostrożnych kontaktów handlowych. Morze wokół tej wyspy – oświadczył komandor uroczystym nieco tonem – jest od dzisiaj o wiele mniej głębokie.

10

Baldabiu znał wszystkie te historie. A zwłaszcza jedną legendę, powtarzającą się często w opowieściach ludzi, którzy tam byli. Głosiła ona, że na wyspie produkowany jest najpiękniejszy na świecie jedwab. Robi się go od ponad tysiąca lat, według starych rytuałów i sekretów, osiągając mistyczną niemal precyzję. Baldabiu sądził jednak, że nie jest to żadna legenda, lecz szczerza i czysta prawda. Zdarzyło mu się raz trzymać w palcach szal utkany z japońskiego jedwabiu. I miał wrażenie, że nie ma nic w ręku. Toteż, gdy wydawało się już, że z powodu pebryny i chorych jajeczek wszystko diabli wezmą, pomyślał sobie tak:

– Ta wyspa jest pełna jedwabników. A wyspa, na którą przez dwieście lat nie dotarł żaden chiński kupiec ani angielski agent ubezpieczeniowy, jest wyspą, na którą nigdy nie dotrze żadna choroba.

I nie tylko pomyślał: powiedział o tym wszystkim producentom jedwabiu z Lavilledieu, zwoławszy ich do kawiarni Verduna. Nikt z nich nie słyszał nigdy o Japonii.

– Mielibyśmy przemierzyć cały świat, żeby kupić jajeczka jak Pan Bóg przykazał, w miejscu, gdzie jak ujrzą cudzoziemca, to go wieszają?

– Wieszali – wyjaśnił Baldabiu.

Nie wiedzieli, co myśleć. Ktoś wysunął obiekcję:

– Musi być jakiś powód, że nikt na świecie nie pomyślał, aby kupować jajeczka właśnie tam.

Baldabiu mógł blefować, twierdząc, że na świecie nie ma drugiego Baldabiu. Ale wołał powiedzieć, jak się rzeczy mają.

– Japończycy zgodzili się w końcu sprzedawać swój jedwab. Ale nie jajeczka. Tych pilnie strzegą. I jeśli próbujesz wywieźć je z tej wyspy, popełniasz przestępstwo.

Producenci jedwabiu z Lavilledieu byli, w mniejszym lub większym stopniu, ludźmi honoru i nigdy nie pomyśleliby o złamaniu jakiegokolwiek prawa we własnym kraju. Możliwość uczynienia tego w innej części świata wydała im się jednak zupełnie sensowna.

11

Był rok 1861. Flaubert kończył *Salammbô*, światło elektryczne było dopiero hipotezą, a Abraham Lincoln, po drugiej stronie oceanu, prowadził wojnę, której końca nie miał nigdy zobaczyć. Hodowcy jedwabników z Lavilledieu założyli spółkę i zebrali, potrzebną na zorganizowanie wyprawy, dość znaczną sumę. Wszystkim wydawało się rzeczą logiczną, że wyprawę powierzyć trzeba Hervé Joncourowi. Kiedy Baldabiau zapytał go, czy się zgadza, tamten odpowiedział pytaniem.

– A gdzie jest właściwie ta Japonia?

Prosto przed siebie, w tamtą stronę. Na samym końcu świata.

Wyruszył 6 października. Samotnie. U bram Lavilledieu przyciągnął do siebie żonę Héléne i powiedział tylko

– Nie musisz się niczego obawiać.

Héléne była wysoką kobietą o powolnych ruchach, z długimi czarnymi włosami, których nigdy nie upinała. Miała przepiękny głos.

12

Hervé Joncour wyruszył, mając przy sobie osiemdziesiąt tysięcy franków w złocie i nazwiska trzech mężczyzn, które podał mu Baldabiau: Chińczyka, Holendra i Japończyka. Przekroczył granicę koło Metzu, minął Wirtembergię i Bawarię, znalazł się w Austrii, pociągiem dojechał do Wiednia i Budapesztu, a potem dalej, aż do Kijowa. Przejechał konno dwa tysiące kilometrów rosyjskiego stepu, minął Ural, znalazł się na Syberii, po czterdziestu dniach drogi przybył nad jezioro Bajkał, które miejscowa ludność nazywała morzem. Z biegiem rzeki Amur, wzdłuż chińskiej granicy dotarł do oceanu i zatrzymał się w porcie Sabirk, gdzie spędził jedenaście dni w oczekiwaniu na statek holenderskich przemysłowców, który następnie dowiózł go do przylądka Teraya na zachodnim wybrzeżu Japonii. Pieszko, bocznymi drogami, przemierzył prowincje Ishikawa, Toyama, Niigata, znalazł się w prowincji Fukushima i dotarł do miasta Shirakawa, okrążył je od wschodu, przez dwa dni czekał na czarno ubranego człowieka, który zawiązał mu oczy i zawiózł do miasteczka na wzgórzach, gdzie spędził noc, a rano dobił targu w sprawie zakupu towaru z mężczyzną, który nic nie mówił, a twarz miał zakrytą jedwabnym welonem. Czarnym. O zachodzie słońca ukrył jajeczka wśród bagaży, odwrócił się plecami do Japonii i ruszył w drogę powrotną.

Minął właśnie ostatnie domy miasteczka, gdy jakiś człowiek dogonił go i zatrzymał. Powiedział coś wzburzonym i kategorycznym tonem, po czym, grzecznie, lecz stanowczo, poprowadził go z powrotem.

Hervé Joncour nie mówił ani nie rozumiał po japońsku. Pojął jednak, że Hara Kei chce się z nim zobaczyć.

13

Rozsunięto ścianę z ryżowego papieru i Hervé Joncour wszedł. Hara Kei siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, w najbardziej oddalonym rogu pokoju. Ubrany był w ciemną tunikę, nie nosił klejnotów. Jedyнным widocznym znakiem jego władzy była kobieta leżąca obok niego, z głową wspartą na jego kolanach, zamkniętymi oczami i rękami schowanymi w fałdach obszernej czerwonej sukni, rozpostartej jak płomień na popielatej macie. On przesuwał wolno ręką po jej włosach: jakby gładził futro cennego, śpiącego zwierzęcia.

Hervé Joncour przeszedł przez pokój, poczekał, aż gospodarz da mu znak, i usiadł naprzeciw niego. Milczeli, patrząc sobie w oczy. Niedostrzegalnie nadszedł służący i postawił przed nimi dwie filiżanki herbaty. Potem zniknął. Wtedy Hara Kei zaczął mówić w swoim języku, głosem monotonnym, przechodzącym w rodzaj drażniąco sztucznego falsetu. Hervé Joncour słuchał. Oczy miał utkwione w oczy Hara Keia i tylko na chwilę, prawie bezwiednie, opuścił je na twarz kobiety.

To była twarz małej dziewczynki.

Znów uniósł wzrok.

Hara Kei przerwał, podniósł jedną z filiżanek, zbliżył ją do ust, chwilę odczekał i odezwał się

– Niech pan spróbuje opowiedzieć mi o sobie.

Powiedział to po francusku, przeciągając nieco samogłoski, głosem ochryplym, naturalnym.

14

Człowiekowi najbardziej niedostępnemu w Japonii, panu i władcy wszystkiego, co światu udawało się wywieźć z tej wyspy, Hervé Joncour próbował opowiedzieć o sobie. Czynił to we własnym języku, mówiąc powoli i nie będąc pewnym, czy Hara Kei zdoła go zrozumieć. Instynktownie zrezygnował z wszelkiej ostrożności, relacjonując bez zmyśleń i bez opuszczeń wszystko, co po prostu było prawdą. Przedstawiał drobne szczegóły i wydarzenia wielkiej wagi takim samym głosem, podkreślanym powściągliwymi gestami, naśladując hipnotyczny rytm, smutny i obojętny, spisu przedmiotów ocalałych z pożaru. Hara Kei słuchał z kamienną twarzą bez wyrazu. Oczy miał utkwione w wargi Hervé Joncoura, jakby to były ostatnie linijki pożegnalnego listu. W pokoju panowała taka cisza i bezruch, że czymś monstrualnym wydało się to, co zdarzyło się nagle i co właściwie było drobnostką bez znaczenia.

W pewnej chwili,
nie poruszywszy się nawet,
dziewczynka
otworzyła oczy.

Hervé Joncour nie przestał mówić, ale instynktownie opuścił wzrok ku niej i, nie przestając mówić, zobaczył, że te oczy nie mają wykroju orientального i że utkwione są z niepokojącym natężeniem w jego twarz: jak gdyby od początku śledziły go spod półprzymkniętych powiek. Hervé Joncour odwrócił wzrok z całą naturalnością, na jaką było go stać, i próbował ciągnąć dalej swoją opowieść niezmiennym głosem. Przerwał dopiero wtedy, gdy jego wzrok padł na stojącą przed nim na ziemi filizankę herbaty. Ujął ją jedną ręką, podniósł do warg i powoli upił łyk. Odstawiając ją na dawne miejsce, znowu zaczął mówić.

15

Francja, podróże morskie, zapach morw w Lavilledieu, pociągi parowe, głos Hélène. Hervé Joncour opowiadał nadal o swoim życiu, jak nigdy jeszcze tego w swoim życiu nie robił. Dziewczynka patrzyła na niego nadal, a intensywność tego spojrzenia nakazywała każdemu z jego słów brzmieć w sposób niezapomniany. Zdawało się, że pokój znieruchomiał bezpowrotnie, gdy oto nagle, zupełnie bezszelestnie, ona wysunęła rękę spod sukni i opuściła ją na matę przed sobą. Hervé Joncour ujrzał tę bladą plamę pojawiającą się na skraju jego pola widzenia, ujrzał, jak muska filiżankę Hara Keia, po czym, pozornie bez sensu, posuwa się dalej, chwytając bez wahania drugą filiżankę, tę, z której on pił, unosi ją lekko i zabiera. Hara Kei nie przestał ani na chwilę wpatrywać się z kamiennym wyrazem twarzy w wargi Hervé Joncoura.

Dziewczynka uniosła lekko głowę.

Po raz pierwszy oderwała oczy od Hervé Joncoura i przeniosła wzrok na filiżankę.

Okręciła ją powoli, aż przy jej wargach znalazło się dokładnie to miejsce, którego on dotknął, pijąc.

Przymknąwszy oczy, wypila łyk herbaty.

Odsunęła filiżankę od ust.

Opuściła ją w to samo miejsce, z którego ją wzięła.

Wsunęła rękę pod suknię.

Znów oparła głowę na kolanach Hara Keia.

Z otwartymi oczami, utkwionymi w oczy Hervé Joncoura.

16

Hervé Joncour mówił jeszcze długo. Przerwał dopiero wtedy, gdy Hara Kei oderwał od niego wzrok i ledwo dostrzegalnie skłonił głowę.

Milczenie.

Po francusku, przeciągając nieco samogłoski, naturalnym, ochrypłym głosem Hara Kei powiedział

– Jeśli pan zechce, z przyjemnością zobaczę pana znowu.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Jajeczka, które ma pan ze sobą, to ikra, niewarte są prawie nic.

Hervé Joncour spuścił oczy. Przed nim stała jego filiżanka herbaty. Wziął ją w rękę i zaczął obracać, przypatrując się jej uważnie, jak gdyby szukał czegoś na kolorowym szlaczku przy brzegu. Kiedy znalazł to, czego szukał, przyłożył tam wargi i wypił do dna. Następnie postawił filiżankę przed sobą i powiedział

– Wiem o tym.

Hara Kei roześmiał się, ubawiony.

– To dlatego zapłacił pan fałszywym złotem?

– Zapłaciłem za to, co kupiłem.

Hara Kei spoważniał.

– Kiedy będzie pan stąd wyjeżdżał, dostanie pan to, czego chce.

– Kiedy żywy opuszczę tę wyspę, dostanie pan należne mu złoto. Ma pan moje słowo.

Hervé Joncour nie zaczekał nawet na odpowiedź. Wstał, zrobił kilka kroków do tyłu i uklonił się.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał przed wyjściem, były jej oczy utkwione w jego oczy, zupełnie nieme.

17

Sześć dni później, w Takaoka, Hervé Joncour wsiadł na statek holenderskich przemytników, który dowiózł go do Sabirka. Stąd, posuwając się wzdłuż chińskiej granicy, dotarł nad jezioro Bajkał, przebył cztery tysiące kilometrów ziemi syberyjskiej, minął Ural, przybył do Kijowa i przejechał pociągiem całą Europę, ze wschodu na zachód, by wreszcie, po trzech miesiącach podróży, znaleźć się we Francji. W pierwszą niedzielę kwietnia – w samą porę, by zdążyć na sumę – stanął u bram Lavilledieu. Zatrzymał się, podziękował Bogu i wszedł do miasteczka pieszo, licząc kroki, aby każdy miał swoją nazwę i aby nigdy ich nie zapomnieć.

– Jaki jest koniec świata? – zapytał go Baldabiou.

– Niewidoczny.

Żonie Hélène przywiózł w prezencie jedwabną tunikę, której ona, przez wstydlivość, nigdy nie włożyła. Trzymając ją w palcach, miało się wrażenie, że nie ma się nic w ręku.

18

Jajeczka, które Hervé Joncour przywiózł z Japonii – przylepione setkami do małych płatków morwowej kory – okazały się zupełnie zdrowe. Produkcja jedwabiu w okręgu Lavilledieu, pod względem ilości i jakości, była w owym roku nadzwyczajna. Zdecydowano się otworzyć dwie nowe przędzalnie, a Baldabiou kazał zbudować wirydarz przy kościółku Świętej Agnieszki. Nie wiadomo dlaczego, ale wyobraził sobie, że musi on być okrągły, i dlatego zlecił przygotowanie projektu architektowi hiszpańskiemu, który nazywał się Juan Benitez i cieszył pewną sławą w dziedzinie *Plazas de Toros*.

– Pośrodku oczywiście żadnego piasku, tylko ogród. I, jeśli łaska, nad wejściem, zamiast głów byków głowy delfinów.

– Delfinów, *señor*?

– Widziałeś kiedyś rybę, Benitez?

Hervé Joncour zrobił kilka obliczeń i odkrył, że jest bogaty. Kupił trzydzieści akrów ziemi na południe od swojego domu i spędził letnie miesiące na sporządzaniu rysunków ogrodu, gdzie byłoby przyjemnie spacerować w ciszy. Wyobraził sobie, że będzie on niewidoczny jak koniec świata. Co rano wyprawiał się do Verduna, gdzie słuchał miejscowych historyjek i przeglądał nadesłane z Paryża gazety. Wieczorem przesiadywał długo obok żony Héléne na werandzie swojego domu. Ona czytała na głos jakąś książkę, a on czuł się szczęśliwy, bo myślał, że na całym świecie nie ma piękniejszego głosu.

4 września 1862 roku skończył 33 lata. Życie jak deszcz spływało przed jego oczami: widok pełen spokoju.

19

– Nie musisz się niczego obawiać.

Ponieważ Baldabiau tak postanowił, 1 października Hervé Joncour wyjechał znowu do Japonii. Przekroczył granicę francuską koło Metz, minął Wirtembergię i Bawarię, znalazł się w Austrii, pociągiem dojechał do Wiednia i Budapesztu, a potem dalej, aż do Kijowa. Przejechał konno dwa tysiące kilometrów rosyjskiego stepu, minął Ural, znalazł się na Syberii, po czterdziestu dniach drogi przybył nad jezioro Bajkał, które miejscowa ludność nazywała demonem. Z biegiem rzeki Amur, wzdłuż chińskiej granicy dotarł do oceanu i zatrzymał się w porcie Sabirk, gdzie spędził jedenaście dni, oczekując na statek holenderskich przemysłowców, który następnie dowiózł go do przylądka Tera na zachodnim wybrzeżu Japonii. Pieszko, bocznymi drogami, przemierzył prowincje Ishikawa, Toyama, Niigata, znalazł się w prowincji Fukushima i dotarł do miasta Shirakawa, okrążył je od wschodu i przez dwa dni czekał na czarno ubranego człowieka, który zawiązał mu oczy i zawiózł do miasteczka Hara Keia. Gdy już mógł otworzyć oczy, ujrzał przed sobą dwóch służących, którzy wzięli jego bagaż, poprowadzili na skraj lasu, wskazali mu ścieżkę i zostawili samego. Hervé Joncour zaczął iść w cieniu, jaki drzewa wokół niego i nad nim wycinały z blasku dnia. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy nagle zieleń otwarła się na chwilę – jak okno – z boku ścieżki. Jakieś trzydzieści metrów poniżej widać było jezioro. A na brzegu jeziora, tyłem do niego, przysiedli na ziemi Hara Kei i kobieta w pomarańczowej sukni, z włosami rozpuszczonymi na ramiona. W chwili gdy Hervé Joncour ją dostrzegł, ona odwróciła się powoli, na jedną chwilę, tyle tylko, by napotkać oczami jego wzrok.

Jej oczy nie miały wykroju orientального, a twarz była twarzą małej dziewczynki.

Hervé Joncour ruszył dalej przez gąszcz lasu, a gdy z niego wyszedł, znalazł się na brzegu jeziora. Kilka kroków przed nim Hara Kei, odwrócony tyłem, siedział sam, nieruchomo, ubrany na czarno. Obok niego leżała rzucona na ziemię pomarańczowa suknia i para słomianych sandałów. Hervé Joncour podszedł bliżej. Małeńkie koliste fale, jakby przysłane gdzieś z daleka, kładły wodę na brzegu jeziora.

– Mój francuski przyjaciel – szepnął, nie odwracając się, Hara Kei.

Spędzili parę godzin, siedząc obok siebie, na rozmowie i milczeniu. Potem Hara Kei podniósł się, a Hervé Joncour poszedł jego śladem. Zanim ruszył w stronę ścieżki,

niedostrzegalnym ruchem upuścił jedną ze swoich rękawiczek obok porzuconej na brzegu pomarańczowej sukni. Kiedy doszli do miasteczka, był już wieczór.

20

Hervé Joncour był gościem Hara Keia przez cztery dni. Było to tak, jakby mieszkał na królewskim dworze. Cała okolica istniała dla tego człowieka, jeśli ktoś na tych wzgórzach wykonał jakiś ruch, służył on prawie zawsze jego obronie lub przyjemności. Życie mrowiło się niegłośnie, poruszało z przebiegłą powolnością, jak tropione zwierzę w swojej norze. Świat wydawał się odległy o całe wieki.

Hervé Joncour miał dom dla siebie i pięciu służących, którzy wszędzie mu towarzyszyli. Jadał samotnie, w cieniu ubarwionego kwiatami drzewa, jakiego nigdy dotąd nie widział. Dwa razy na dzień podawano mu, w sposób nieco ceremonialny, herbatę. Wieczorem prowadzony był do największego w domu pomieszczenia z kamienną podłogą, gdzie poddawał się rytuałowi kąpieli. Trzy kobiety, stare, z twarzami pokrytymi czymś w rodzaju białej szminki, polewały wodą jego ciało i wycierały je ciepłą, jedwabną tkaniną. Ich sękaty dłonie były zadziwiająco lekkie.

Rankiem drugiego dnia Hervé Joncour ujrzał wjeżdżającego do miasteczka białego człowieka: towarzyszyły mu dwa wozy pełne dużych drewnianych skrzyń. Był to Anglik. Nie przyjechał tu kupować. Przyjechał sprzedawać.

– Broń, *monsieur*. A pan?

– Ja kupuję. Jedwabniki.

Zjedli razem kolację. Anglik miał dużo do opowiadania: od ośmiu już lat krążył tam i z powrotem między Europą a Japonią. Hervé Joncour słuchał i dopiero na końcu zapytał

– Czy zna pan kobietę, młodą, Europejkę, jak sądzę, białą, która tu mieszka?

Anglik, nieporuszony, jadł dalej.

– W Japonii nie ma białych kobiet. W Japonii nie ma ani jednej białej kobiety.

Odjechał następnego dnia obładowany złotem.

21

Hervé Joncour zobaczył znów Hara Keia dopiero trzeciego dnia rano. Zdał sobie nagle sprawę, że jego pięciu służących zniknęło gdzieś, jakby za sprawą czarów, i w parę chwil później zobaczył jego. Ten człowiek, dla którego wszyscy w tych stronach istnieli, poruszał się zawsze w otoczce pustki. Jak gdyby jakaś niepisana reguła nakazywała światu, by pozwolił mu żyć samotnie.

Poszli razem w górę zbocza i dotarli do polany, gdzie niebo przecinały dziesiątki przelatujących ptaków z wielkimi błękitnymi skrzydłami.

– Tutejsza ludność patrzy, jak latają, i z ich lotu odczytuje przyszłość.

Powiedział Hara Kei.

– Kiedy byłem chłopcem, ojciec zaprowadził mnie w miejsce podobne do tego, włożył mi w ręce swój łuk i kazał strzelić do jednego z nich. Zrobiłem to i wielki ptak z błękitnymi skrzydłami spadł na ziemię jak martwy kamień. Jeśli chcesz poznać przyszłość, czytaj lot swojej strzały, powiedział mi ojciec.

Ptaki latały powoli, unosząc się i opadając na niebie, jakby je chciały starannie zetrzeć skrzydłami.

Wrócili do wsi, idąc w dziwnym świetle popołudnia, które przypominało wieczór. Przed domem Hervé Joncoura pożegnali się. Hara Kei zawrócił i ruszył powoli przed siebie drogą biegnącą wzdłuż rzeki. Hervé Joncour patrzył za nim, stojąc w progu: zaczekał, aż tamten oddali się o jakieś dwadzieścia kroków, i zapytał

– Kiedy powie mi pan, kim jest ta dziewczynka?

Hara Kei szedł dalej, krokiem powolnym, w którym nie było ani śladu zmęczenia. Wokół była kompletna cisza i pustka. Jakby pod wpływem dziwnego nakazu człowiek ów, dokądkolwiek szedł, poruszał się w całkowitej i doskonałej samotności.

Rankiem ostatniego dnia Hervé Joncour wyszedł ze swego domu i zaczął błądzić bez celu po miasteczku. Napotykał mężczyzn, którzy na jego widok kłaniali się, i kobiety, które uśmiechały się, spuszczać oczy. Kiedy zobaczył ogromną woliere z niewiarygodną ilością ptaków wszelkiego rodzaju, prawdziwy spektakl, zrozumiał, że jest blisko siedziby Hara Keia. Hara Kei opowiadał mu, że kazał je sprowadzać ze wszystkich stron świata. Niektóre z nich warte były więcej niż cały jedwab, jaki w Lavilledieu produkowano w ciągu roku. Hervé Joncour przystanął, by popatrzeć na to wspaniałe szaleństwo. Przypomniał sobie przeczytane w jakiejś książce zdanie, że ludzie Wschodu, aby uczcić wierność swoich kochanek, ofiarowywali im nie klejnoty, lecz niezwykle, przepiękne ptaki.

Siedziba Hara Keia zdawała się tonąć w jeziorze ciszy. Hervé Joncour podszedł bliżej i przystanął kilka metrów od wejścia. Nie było drzwi, a na papierowych ścianach pojawiały się i znikwały bezgłośnie cienie. Nie sprawiało to wrażenia życia; jedynym słowem na określenie tego wszystkiego było słowo teatr. Hervé Joncour zatrzymał się i – sam nie wiedząc na co – czekał: nieruchomo, kilka metrów od domu. Przez cały ten czas, w którym zdał się na zrządzenie losu, na dziwnej scenie nie było nic poza cieniami i ciszą. Toteż w końcu Hervé Joncour odwrócił się i ruszył szybko ku domowi. Spuściwszy głowę, patrzył na stawiane przez siebie kroki, to bowiem pomagało mu nie myśleć.

Wieczorem Hervé Joncour spakował bagaże. Potem pozwolił zaprowadzić się do dużego pokoju z kamienną posadzką, gdzie odbywał się rytuał kąpieli. Wyciągnął się, zamknął oczy i zaczął myśleć o wielkiej wolierze, szalonym dowodzie miłości. Ktoś położył mu na oczach wilgotną ściereczkę. Dotychczas nigdy tego nie robiono. Instynktownie chciał ją zsunąć, ale czyjaś dłoń ujęła jego rękę i zatrzymała ją. To nie była stara dłoń starej kobiety.

Hervé Joncour poczuł wodę spływającą na jego ciało, najpierw na nogi, potem wzdłuż ramion i na pierś. Woda jak oliwa. A wokół dziwna cisza. Poczł lekkość jedwabnego welonu, który na niego opadł. I dłonie kobiety – kobiety – które wycierały go, gładząc po całej skórze: te ręce i ta utkana z powietrza tkanina. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy poczuł, że ręce wędrują od ramion ku szyi, a palce – jedwab i palce – unoszą się do jego warg, muskają je raz jeden, powoli, i nikną.

Hervé Joncour poczuł jeszcze, jak jedwabny welon odrywa się od niego i unosi. I poczuł rękę, która rozchyłała jego dłoń i coś na niej kładła.

Czekał długo, w ciszy, nie poruszając się. Potem zdjął powoli wilgotną ściereczkę z oczu. W pokoju nie było już prawie światła. Wokół nie było nikogo. Podniósł się, wziął tunikę, która leżała złożona na ziemi, narzucił ją na ramiona, wyszedł z pokoju, przeszedł przez dom, znalazł swoją matę i wyciągnął się na niej. Zapatrzył się w wąty płomyk, który migotał w latarni. I z rozmysłem zatrzymał Czas na tyle czasu, ile było mu trzeba.

Potem drobnostką już było otworzyć rękę i ujrzeć tę kartkę. Małą. Kilka ideogramów nakreślonych jeden pod drugim. Czarnym atramentem.

Następnego dnia wcześniej rano Hervé Joncour odjechał. Wiózł ze sobą, ukryte wśród bagaży, tysiące jajeczek jedwabników, czyli przyszłość Lavilledieu, pracę dla setek osób i bogactwo dla dziesięciu z nich. Tam, gdzie droga skręcała w lewo, kryjąc na zawsze za linią wzgórza widok miasteczka, zatrzymał się, nie bacząc na dwóch ludzi, którzy mu towarzyszyli. Zsiadł z konia i stał przez chwilę na skraju drogi, ze wzrokiem utkwionym we wspinające się zboczem domy.

Sześć dni później, w Takaoka, Hervé Joncour wsiadł na statek holenderskich przemytników, który dowiózł go do Sabirka. Stąd, posuwając się wzdłuż chińskiej granicy, dotarł nad jezioro Bajkał, przebył cztery tysiące kilometrów ziemi syberyjskiej, minął Ural, przybył do Kijowa i przejechał pociągiem przez całą Europę, ze wschodu na zachód, by wreszcie, po trzech miesiącach podróży, znaleźć się we Francji. W pierwszą niedzielę kwietnia – w samą porę, by zdążyć na sumę – stanął u bram Lavilledieu. Ujrzał żonę Héléne, która wybiegła mu naprzeciw, przyciskając ją do siebie poczuł zapach jej skóry i usłyszał aksamit głosu, gdy powiedziała

– Wróciłeś.

Ze słodyczą.

– Wróciłeś.

25

W Lavilledieu życie płynęło zwyczajnie, pod znakiem metodycznej normalności. Hervé Joncour pozwolił mu się nieść przez czterdzieści jeden dni. Czterdziestego drugiego poddał się, otworzył szufladkę swojego podróżnego kufra, wydobył mapę Japonii, rozłożył ją i wyciągnął karteczkę, którą ukrył tam parę miesięcy wcześniej. Kilka ideogramów nakreślonych jeden pod drugim. Czarnym atramentem. Usiadł przy biurku i długo im się przyglądał.

Znalazł Baldabiou u Verduna, przy bilardzie. Baldabiou grał zawsze samotnie, sam przeciw sobie. Dziwne partie. Zdrowy przeciw jednorękiemu, jak je określał. Jeden ruch wykonywał normalnie, a następny jedną ręką.

Tego dnia, gdy wygra jednoręki – mawiał – opuszczę to miasto. Od lat jednoręki przegrywał.

– Baldabiou, muszę tu znaleźć kogoś, kto umie czytać po japońsku.

Jednoręki uderzył o dwie bandy z rotacją wsteczną.

– Poproś Hervé Joncoura, on wszystko umie.

– Ja tego nie rozumiem.

– Tutaj ty jesteś Japończykiem.

– Ale i tak nic nie rozumiem.

Zdrowy pochylił się nad kijem i posłał świecę za sześć punktów.

– W takim razie zostaje tylko Madame Blanche. Ma sklep bławatny w Nîmes. Nad sklepem jest burdel. Też należy do niej. Jest bogata. I jest Japonką.

– Japonką? A jak się tu znalazła?

– Nie pytaj jej o to, jeśli chcesz od niej coś uzyskać. Cholera.

Jednorękiemu nie wyszło uderzenie o trzy bandy za czternaście punktów.

26

Swojej żonie H el ene Herv e Joncour powiedzia ,  e musi jecha  do N imes w sprawach handlowych. I  e wr oci tego samego dnia.

Wszed  na pierwsze pi tro nad sklepem b awatnym przy ulicy Moscat 12 i zapyta  o Madame Blanche. Kazano mu d ugo czeka . Salon urz adzony by  jak na zabaw , kt ora zacz ła si  przed laty i trwa nadal. Wszystkie dziewcz ta by y m ode i by y Francuzkami. By  te  pianista, kt ory gra  nieg o no motywy w stylu rosyjskim. Na zako czenie ka dego kawa ka przeczesywa  praw  r k  w osy i szepta  cicho

– *Voil .*

Hervé Joncour czekał przez dwie godziny. Potem zaprowadzono go korytarzem do ostatnich drzwi. Otworzył i wszedł.

Madame Blanche siedziała w wielkim fotelu pod oknem. Ubrana była w kimono z lekkiej tkaniny: zupełnie białe. Na palcach, zamiast pierścionków, miała małe kwiatki w kolorze jaskrawoniebieskim. Włosy czarne, lśniące, twarz orientalna, bez skazy.

– Co pozwala panu sądzić, że jest pan dość bogaty na to, by iść do łóżka ze mną?

Hervé Joncour stał nadal przed nią, z kapeluszem w ręku.

– Chciałbym, by wyświadczyła mi pani pewną przysługę. Cena nie gra roli.

Po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną na cztery małą kartkę i podał jej.

– Muszę wiedzieć, co tam jest napisane.

Madame Blanche nie poruszyła się ani o milimetr. Jej wargi były lekko rozchylone, przywodziły na myśl prehistorię uśmiechu.

– Bardzo panią proszę, *madame*.

Nie miała najmniejszego powodu, by to uczynić. A jednak wzięła kartkę, rozłożyła ją i spojrzała. Podniosła oczy na Hervé Joncoura, opuściła je znowu. Powoli złożyła kartkę. Gdy pochyliła się do przodu, aby mu ją zwrócić, kimono rozchyliło się nieznacznie na piersi. Hervé Joncour zobaczył, że nie ma nic pod spodem i że jej skóra jest młoda i jasna.

– Proszę wrócić, bo umrę.

Powiedziała to zimnym głosem, patrząc Hervé Joncourowi w oczy, jej twarz ani na jotę nie zmieniła wyrazu. Proszę wrócić, bo umrę.

Hervé Joncour włożył karteczkę z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Dziękuję.

Skłonił się lekko, po czym odwrócił się, skierował ku drzwiom i chciał położyć na stole kilka banknotów.

– Niech pan da spokój.

Hervé Joncour zawahał się na chwilę.

– Nie mówię o pieniądzach. Mówię o tej kobiecie. Niech pan da spokój. Nie umrze i pan o tym wie.

Nie odwracając się, Hervé Joncour położył banknoty na stole, otworzył drzwi i wyszedł.

Baldabiau mówił, że czasem przyjeżdżali aż z Paryża, aby kochać się z Madame Blanche. Po powrocie do stolicy każdy demonstracyjnie obnosił w klapie wieczorowej marynarki kilka małych niebieskich kwiatków, takich samych jak te, które ona nosiła zawsze między palcami zamiast pierścionków.

29

Po raz pierwszy w życiu Hervé Joncour zabrał tego roku żonę na Riwierę. Zatrzymali się na dwa tygodnie w jednym z hoteli w Nicei, odwiedzanym najczęściej przez Anglików i znanym z wieczorów muzycznych, jakie urządzano tam dla gości. Hélène nabrała przekonania, że w miejscu tak pięknym uda się im począć dziecko, na które daremnie czekali od lat. Postanowili wspólnie, że będzie to chłopczyk. I że będzie miał na imię Philippe. Korzystali z umiarem ze światowego życia kąpieliska, a potem, zamknięci w swoim pokoju, zabawiali się przypominaniem sobie różnych dziwnych, śmiesznych typów, które zdarzyło im się spotkać. Pewnego wieczoru, na koncercie, poznali jakiegoś Polaka, który handlował futrami: mówił, że był w Japonii.

W noc przed wyjazdem Hervé Joncour obudził się nagle, gdy było jeszcze ciemno, wstał i podszedł do łóżka Hélène. Gdy otworzyła oczy, usłyszał własny głos, mówiący cicho:

– Zawsze będę cię kochał.

Na początku września hodowcy jedwabników z Lavilledieu zebrali się, by podjąć decyzję, co robić. Rząd przysłał do Nîmes młodego biologa, który miał zbadać chorobę niszczącą produkowane we Francji jajeczka. Nazywał się Louis Pasteur i pracował, używając mikroskopów zdolnych zobaczyć to, co niewidzialne: mówiono, że uzyskał już zaskakujące rezultaty. Z Japonii napływały wieści o zbliżającej się wojnie domowej, do której parły siły przeciwne wpuszczaniu do kraju cudzoziemców. Konsulat francuski, od niedawna działający w Jokohamie, słał pisma, w których odradzał chwilowo nawiązywania stosunków handlowych z wyspą i radził czekać na poprawę sytuacji. Wielu notabli z Lavilledieu, skłonnych do ostrożności i nieobojętnych na ogromne koszty, z jakimi wiązała się każda potajemna wyprawa do Japonii, proponowało, by wstrzymać na ten rok podróże Hervé Joncoura i zaryzykować kupno partii jajeczek, w miarę wiarygodnych, sprowadzanych przez wielkich importerów z Bliskiego Wschodu. Baldabiau wysłuchał wszystkich bez słowa. Kiedy w końcu przyszła jego kolej, położył swoją trzciniową laskę na stole i podniósł wzrok na człowieka, który siedział naprzeciw niego. I czekał.

Hervé Joncour słyszał o badaniach Pasteura i czytał wiadomości nadchodzące z Japonii: ale nigdy nie chciał ich komentować. Wolał spędzać czas na wprowadzaniu ostatnich poprawek do projektu ogrodu, który chciał założyć wokół domu. W ciemnym zakamarku swego gabinetu trzymał złożoną we czworo kartkę z kilkoma ideogramami nakreślonymi jeden pod drugim czarnym atramentem. Miał okazałe konto w banku, prowadził spokojne życie i żywił niepozbawioną podstaw nadzieję, że wkrótce zostanie ojcem. Kiedy Baldabiau podniósł na niego wzrok, powiedział tylko – To ty decydujesz, Baldabiau.

31

Hervé Joncour wyjechał do Japonii w pierwszych dniach października. Przekroczył granicę francuską koło Metz, minął Wirtembergię i Bawarię, znalazł się w Austrii, pociągiem dojechał do Wiednia i Budapesztu, a potem dalej, aż do Kijowa. Przejechał konno dwa tysiące kilometrów rosyjskiego stepu, minął Ural, znalazł się na Syberii, po czterdziestu dniach drogi przybył nad jezioro Bajkał, które miejscowa ludność nazywała ostatnim. Z biegiem rzeki Amur, wzdłuż chińskiej granicy dotarł do oceanu i zatrzymał się w porcie Sabirk, gdzie spędził dziesięć dni, czekając na statek holenderskich przemytników, który dowiózł go do przylądka Teraya, na zachodnim wybrzeżu Japonii. Znalazł kraj w chaosie oczekiwania na wojnę, która wciąż nie mogła wybuchnąć. Podróżował całe dnie, nie uciekając się do zwykłej ostrożności, bo mapa układu sił i sieć kontroli wokół niego zdawały się tracić rację bytu wobec bliskości wybuchu, który będzie je musiał wytyczyć na nowo. W Shirakawie spotkał człowieka, który miał go zaprowadzić do Hara Keia. W dwa dni, konno, dojechali do miasteczka. Hervé Joncour wkroczył tam pieszo, tak, by wiadomość o jego przyjeździe zdążyła dotrzeć przed nim.

Zaprowadzono go do jednego z ostatnich domów miasteczka, wysoko, pod lasem. Czekają na niego pięciu służących. Oddał im bagaże i wyszedł na werandę. Na przeciwległym skraju miasteczka rysował się pałac Hara Keia, niewiele większy od innych domów, lecz otoczony ogromnymi cedrami, które strzegły jego samotności. Hervé Joncour przyglądał mu się długo, jak gdyby za nim, aż po horyzont, nie było już nic więcej. Aż

w końcu,

niespodziewanie,

zobaczył, że niebo nad pałacem pokrywa się plamami setek lecących ptaków, jakby siłą wybuchu wyrzuconych z ziemi, ptaków wszelkiego rodzaju, które, oszołomione i oszalałe, pierzchały na wszystkie strony, śpiewając i krzycząc, pirotechniczna eksplozja skrzydeł, chmura kolorów wystrzelonych w światło i trwożnych dźwięków, muzyczna fuga lecąca do nieba.

Hervé Joncour uśmiechnął się.

Miasteczko zaczęło się roić jak oszalałe mrowisko: wszyscy biegali i krzyczeli, patrzyli w górę i gonili te zbiegłe ptaki, które przez całe lata były chlubą ich pana, a teraz skrzydlatą drwiną na niebie. Hervé Joncour wyszedł z domu i szedł do miasteczka, idąc wolno i patrząc przed siebie z bezgranicznym spokojem. Nikt zdawał się go nie widzieć i on zdawał się nie widzieć niczego. Szedł prosto za złotą nicią w osnowie dywanu utkanego przez szaleńca. Przeszedł most na rzece, dotarł do wielkich cedrów, wszedł w ich cień i wyszedł z cienia. Na wprost siebie zobaczył olbrzymią wolierę z otwartymi drzwiami, zupełnie pustą. A przed nią kobietę. Hervé Joncour nie rozejrzał się wokół, szedł po prostu dalej, powoli, i przystanął dopiero wtedy, gdy znalazł się przed nią.

Jej oczy nie miały wykroju orientального, a jej twarz była twarzą małej dziewczynki.

Hervé Joncour postąpił krok ku niej, wyciągnął rękę i otworzył dłoń. Leżała na niej złożona we czworo karteczka. Ona ją spostrzegła i każdy załomek jej twarzy opromienił uśmiech. Oparła rękę na dłoni Hervé Joncoura, ucisnęła ją delikatnie, chwilę zwlekała, po czym cofnęła rękę, ściskając w palcach tę kartkę, która objechała cały świat. Zaledwie zdążyła ją ukryć w fałdach sukni, gdy rozległ się głos Hara Keia

– Witam pana, mój francuski przyjacielu.

Był o kilka kroków od nich. Ciemne kimono, czarne włosy zebrane starannie na karku. Podszedł bliżej. Zaczął przyglądać się wolierze, zatrzymując kolejno wzrok na wszystkich szeroko otwartych drzwiach.

– Wróć. Trudno jest oprzeć się pokusie powrotu, prawda?

Hervé Joncour nie odpowiedział. Hara Kei popatrzył mu w oczy i powiedział łagodnie

– Proszę ze mną.

Hervé Joncour ruszył za nim. Po kilku krokach odwrócił się w stronę dziewczyny i lekko skłonił.

– Mam nadzieję, że wkrótce panią zobaczę.

Hara Kei szedł dalej.

– Nie zna pańskiego języka.

Powiedział.

– Proszę ze mną.

Tego wieczoru Hara Kei zaprosił Hervé Joncoura do swego domu. Było kilku mężczyzn z miasteczka i bardzo elegancko ubrane kobiety o twarzach pomalowanych bielą i jaskrawymi kolorami. Pito sake, palono w długich fajkach tytoń o ostrym, odurzającym zapachu. Zjawili się kuglarze i człowiek, który rozbawiał gości naśladowaniem ludzi i zwierząt. Trzy stare kobiety grały na instrumentach strunowych, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać. Hara Kei siedział na honorowym miejscu, ubrany na ciemno, z bosymi stopami. Kobieta o twarzy małej dziewczynki, w jedwabnej wspaniałej sukni, siedziała obok niego. Hervé Joncour był po drugiej stronie pokoju: osaczony słodkawym zapachem otaczających go kobiet, uśmiechał się z zakłopotaniem do mężczyzn zabawiających go historyjkami, których nie mógł zrozumieć. Po tysiąc razy szukał jej oczu i po tysiąc razy ona znajdowała jego oczy. Był to rodzaj smutnego tańca, tajemnego i bezsilnego. Hervé Joncour tańczył go aż do późnej nocy, po czym wstał, powiedział po francusku parę słów przeprosin, uwolnił się jakoś od kobiety, która uparła się, by mu towarzyszyć, i, przepchnąwszy się w obłokach dymu wśród mężczyzn, mówiących coś do niego w tym swoim niezrozumiałym języku, wyszedł. Zanim opuścił pokój, I I spojrział po raz ostatni w jej stronę. Patrzyła na niego oczami, które były całkowicie nieme, odległe o wieki.

Hervé Joncour wałęsał się po miasteczku, wdychając świeże powietrze i błądząc wśród zaułków na zboczu wzgórza. Kiedy dotarł do domu, zobaczył, że za papierową ścianą chwieje się zapalona latarnia. Wszedł i ujrzał przed sobą dwie stojące kobiety. Młodą dziewczynę o rysach orientalnych, ubraną w proste białe kimono. I ją. Miała w oczach jakąś gorączkową radość. Nie zostawiła mu na nic czasu. Podeszła, ujęła jego dłoń, podniosła ją sobie do twarzy, musnęła wargami, po czym, ściskając mocno, położyła na dłoniach stojącej obok dziewczyny i chwilę przytrzymała, by nie mógł jej cofnąć. W końcu oderwała swoją rękę, zrobiła dwa kroki do tyłu, wzięła latarnię, spojrzała na chwilę w oczy Hervé Joncoura i wybiegła. Latarnia była pomarańczowa. Uciekające światelko, które zniknęło w nocy.

Hervé Joncour nie widział nigdy tej dziewczyny ani też, prawdę mówiąc, nie miał jej zobaczyć tej nocy. W ciemnym pokoju czuł piękno jej ciała, poznał jej dłonie i usta. Kochał się z nią przez długie godziny, wykonując gesty, których nigdy nie czynił, ucząc się powolności, której nie znał. W ciemności drobnostką było kochać się z nią, ale nie ją kochać.

Tuż przed świtem dziewczyna wstała, włożyła białe kimono i wyszła.

Rano Hervé Joncour zobaczył, że przed domem czeka na niego jeden z ludzi Hara Keia. Miał przy sobie piętnaście płatków kory morwy pokrytych całkowicie maleńkimi jajeczkami w kolorze kości słoniowej. Hervé Joncour obejrzał każdy płatek po kolei, uważnie, potem dogadał się co do ceny i zapłacił złotymi krążkami. Zanim człowiek odszedł, dał mu do zrozumienia, że chciałby się widzieć z Hara Keiem. Mężczyzna potrząsnął głową. Z jego gestów Hervé Joncour zrozumiał, że Hara Kei odjechał wczesnie rano ze swoim dworem i że nikt nie wie, kiedy wróci.

Hervé Joncour pobiegł przez miasteczko do domu Hara Keia. Znalazł tylko służących, którzy na każde pytanie odpowiadali potrząśnięciem głowy. Dom wydawał się pusty. I chociaż szukał wszędzie, w najdrobniejszych nawet przedmiotach, czegoś, co przypominałoby zostawioną mu wiadomość, nie znalazł nic. Opuścił dom i, wracając do miasteczka, przeszedł przed ogromną wolierą. Drzwi znowu były pozamykane. Wewnątrz setki ptaków latały z dala od nieba.

Hervé Joncour przez dwa dni jeszcze czekał na jakiś znak. Potem odjechał.

Nagle, o pół godziny drogi od miasteczka, gdy jechał skrajem lasu, dobiegł go dziwny, srebrzysty zgiełk. Ukryte wśród liści majaczyły tysiące ciemnych plam stada ptaków, które przysiadły, by wypocząć. Nie tłumacząc nic dwóm towarzyszącym mu mężczyznom, Hervé Joncour zatrzymał konia, wyciągnął zza pasa rewolwer i oddał sześć strzałów w powietrze. Przerażone stado poderwało się do góry, niby chmura dymu znad płonącego domu. Była tak wielka, że mógłbyś ją dostrzec o wiele dni drogi stamtąd. Ciemna na tle nieba, krążyła bez celu, kierowana jedynie własnym strachem.

Sześć dni później, w Takaoka, Hervé Joncour wsiadł na statek holenderskich przemytników, który dowiózł go do Sabirka. Stąd, posuwając się wzdłuż chińskiej granicy, dotarł nad jezioro Bajkał, przebył cztery tysiące kilometrów ziemi syberyjskiej, minął Ural, przybył do Kijowa i przejechał pociągiem przez całą Europę, ze wschodu na zachód, by wreszcie, po trzech miesiącach podróży, znaleźć się we Francji. W pierwszą niedzielę kwietnia – w samą porę, by zdążyć na sumę – stanął u bram Lavilledieu. Kazał zatrzymać karetę i przez parę minut siedział nieruchomo za zaciągniętymi firankami. Po czym wysiadł i dalej szedł pieszo, krok za krokiem, czując bezkresne zmęczenie.

Baldabiou zapytał go, czy widział wojnę.

– Nie tę, której się spodziewałem – odparł.

W nocy wszedł do łóżka Hélène i kochał ją tak zachłannie, że aż się przestraszyła i nie mogła powstrzymać łez. Gdy to spostrzegł, próbowała się uśmiechnąć.

– To dlatego, że jestem taka szczęśliwa – powiedziała cicho.

Hervé Joncour przekazał jajeczka hodowcom jedwabników z Lavilledieu. Potem przez całe dni nie pokazywał się w mieście, zaniedbując nawet tradycyjną, codzienną wyprawę do Verduna. W pierwszych dniach maja, ku ogólnemu zdumieniu, kupił opuszczony dom Jeana Berbecka, tego, który pewnego dnia przestał mówić i nie odezwał się już aż do śmierci. Wszyscy sądzili, że zamyśla urządzić tam sobie nowe laboratorium. Ale on nie zaczął nawet usuwać sprzętów. Chodził tam od czasu do czasu i siedział samotnie, nie wiadomo po co. Pewnego dnia zabrał ze sobą Baldabiou.

– Czy ty może wiesz, dlaczego Jean Berbeck przestał mówić? – zapytał.

– To jedna z tych rzeczy, których już nie powiedział.

Minęły lata, ale na ścianach wisiały jeszcze obrazy, a w kuchni przy zlewie stały garnki. To nie było wesołe i Baldabiou chętnie by stamtąd wyszedł. Ale Hervé Joncour patrzył nadal jak urzeczony na te martwe, pokryte pleśnią ściany. Było oczywiste, że czegoś tu wewnątrz szuka.

– Może po prostu czasami życie przybiera taki obrót, że człowiek nie ma już właściwie nic do powiedzenia.

Powiedział.

– Już nic, aż do końca.

Baldabiou nie miał zbytniego zacięcia do poważnych rozmów. Patrzył na łóżko Jeana Berbecka.

– Może każdy by zaniemówił w takim szkaradnym domu.

Hervé Joncour przez długie dni prowadził życie odludka, mało się pokazując w mieście i spędzając czas na pracy nad projektem ogrodu, który wcześniej czy później miał założyć. Pokrywał kartkę za kartką dziwnymi rysunkami, które przypominały maszyny. Pewnego wieczoru Héléne zapytała

– Co to jest?

– To woliera.

– Woliera?

– Tak.

– A do czego to służy?

Hervé Joncour patrzył na rysunki.

– Napełniasz ją ptakami, jak największą ilością ptaków, a potem któregoś dnia, gdy przytrafi ci się coś szczęśliwego, otwierasz ją szeroko i patrzysz, jak ulatują.

W końcu lipca Hervé Joncour pojechał z żoną do cei. Zamieszkali w małej willi na brzegu morza. Tak chciała Hélène, w przekonaniu, że pogodny spokój odludnej samotni zdoła złagodzić ten melancholijny nastrój, który, jak się zdawało, owładnął jej mężem. Przezornie postarała się jednak, żeby wyglądało to na jej własny kaprys, by sprawić mężczyźnie, którego kochała, przyjemność wybaczenia go jej.

Spędzili razem trzy tygodnie małego, idealnego szczęścia. W dni, gdy upał mniej dawał się we znaki, wynajmowali powóz i zabawiali się odkrywaniem wiosek ukrytych na wzgórzach, skąd morze wydawało się dekoracją z kolorowego papieru. Od czasu do czasu wypuszczali się do miasta na koncert czy spotkanie towarzyskie. Pewnego wieczoru przyjęli zaproszenie włoskiego barona, który świętował swoje sześćdziesiąte urodziny uroczystą kolacją w „Hôtel Suisse”. Byli przy deserze, gdy Hervé Joncour podniósł przypadkiem wzrok na Hélène. Siedziała po drugiej stronie stołu, obok czarującego angielskiego dżentelmena, który, dziwnym zbiegiem okoliczności, do klapy zakietu miał ostentacyjnie przypięty wianuszek z małych niebieskich kwiatków. Hervé Joncour zobaczył, że pochyla się on ku Hélène i szeptem jej coś do ucha. Hélène zaczęła się śmiać na swój przepiękny sposób, a śmiejąc się, skłoniła lekko głowę w stronę angielskiego dżentelmena, muskając włosami jego ramię, i ruch ten nie miał w sobie nic z niezręczności, tylko bulwersującą precyzję. Hervé Joncour opuścił wzrok na talerz. Zdał sobie sprawę, że jego ręka, zaciśnięta na srebrnej łyżeczce, bez żadnej wątpliwości drży.

Później, w palarni, chwiejąc się od nadmiaru wypitego alkoholu, Hervé Joncour podszedł do mężczyzny, który siedział samotnie przy stole, patrząc przed siebie z lekko ogłupiałym wyrazem twarzy. Pochylił się nad nim i powiedział wolno

– Muszę zakomunikować panu, *monsieur*, coś bardzo ważnego. Wszyscy jesteśmy obrzydliwi. Jesteśmy wszyscy wspaniali i wszyscy jesteśmy obrzydliwi.

Mężczyzna pochodził z Drezna. Handlował cielećtami i słabo znał francuski. Wybuchnął rozgłośnym śmiechem, kiwając potakująco głową, raz za razem: wydawało się, że nigdy nie przestanie.

Hervé Joncour z żoną zostali na Riwierze aż do początku września. Z żalem opuścili małą willę, bo w jej murach miłość wydała im się dobrym losem.

41

Baldabiou przyszedł do domu Hervé Joncoura wczesnym rankiem. Usiedli na werandzie.

– Nie taki znów piękny ten ogród.

– Jeszcze nie rozpocząłem prac, Baldabiou.

– Aha.

Baldabiou nie palił nigdy rano. Wyciągnął fajkę, nabił ją i zapalił.

– Poznałem tego Pasteura. To człowiek do rzeczy. Wykazał mi to. Jest w stanie odróżnić jajeczka zdrowe od chorych. Nie umie ich leczyć, to się rozumie. Ale może wyodrębnić zdrowe. I mówi, że z tego, co my hodujemy, zdrowych jest prawdopodobnie trzydzieści procent.

Pauza.

– Mówią, że w Japonii wybuchła wojna, tym razem naprawdę. Anglicy dają broń rządowi, Holendrzy rebeliantom. Wygląda na to, że działają za wspólnym porozumieniem. Pozwolą im się solidnie wyszumieć, a potem zabiorą wszystko i podzielą między siebie. Konsulat francuski przygląda się temu z boku, oni zawsze się przyglądają. Potrafią tylko wysyłać depesze, w których piszą o masakrach i cudzoziemcach zarzynanych jak owce.

Pauza.

– Jest jeszcze trochę kawy?

Hervé Joncour nalał mu kawy.

Pauza.

– Ci dwaj Włosi, Ferreri i ten drugi, ci, którzy byli w Chinach w zeszłym roku... mają piętnaście tysięcy uncji jajeczek, dobry towar, ci z Bollet też go kupili, mówią, że to pierwszorzędny gatunek. Za miesiąc znowu jadą... zaproponowali nam dobry interes, uczciwa cena, jedenaście franków za uncję, wszystko z gwarancją. To poważni ludzie, mają całą organizację, pół Europy u nich kupuje. Poważni ludzie, mówię ci.

Pauza.

– Ja nie wiem. Ale może dalibyśmy radę. Z naszymi jajeczkami, przy tym, co robi Pasteur, no i z tym, co możemy kupić od tych dwóch Włochów... dalibyśmy radę. Ludzie w okolicy mówią, że to szaleństwo wysyłać cię znowu tam... przy tych wszystkich kosztach...

mówią, że to zbyt ryzykowne i tu mają rację, przedtem to było co innego, ale teraz... teraz trudno wrócić stamtąd żywym.

Pauza.

– Chodzi o to, że oni nie chcą stracić jajeczek. A ja nie chcę stracić ciebie.

Hervé Joncour siedział przez jakiś czas ze wzrokiem utkwionym w nieistniejący ogród. Potem zrobił coś, czego nie zrobił jeszcze nigdy.

– Pojadę do Japonii, Baldabiau.

Powiedział.

– Kupię te jajeczka i, jeśli będzie trzeba, zrobię to za własne pieniądze. Ty musisz tylko zdecydować, czy mam je sprzedać wam, czy komuś innemu.

Tego się Baldabiau nie spodziewał. Zupełnie jakby ostatnią kolejkę wygrał jednoręki: uderzenie o cztery bandy, nieosiągalna geometria.

Baldabiau powiedział hodowcom z Lavilledieu, że Pasteur jest mało wiarygodny, że tamci dwaj Włosi oszukali już pół Europy, że wojna w Japonii skończy się przed zimą i że święta Agnieszka zapytała go we śnie, czy aby nie są wszyscy razem stadem śmierdzących tchórzy. Tylko przed Hélène nie potrafił kłamać.

– Czy naprawdę musi pojechać, Baldabiau?

– Nie.

– No to dlaczego?

– Ja nie mogę go powstrzymać. I jeśli chce jechać, mogę mu tylko dostarczyć jeszcze jakiś powód, by chciał wrócić.

Wszyscy hodowcy z Lavilledieu wpłacili, acz niechętnie, przypadającą na nich kwotę na pokrycie kosztów wyprawy. Hervé Joncour rozpoczął przygotowania i w pierwszych dniach października był gotowy do drogi. Hélène, jak każdego roku, pomagała mu, nie pytając o nic i ukrywając niepokój. Dopiero ostatniego wieczoru, po zgaszeniu lampy, znalazła w sobie dość siły, by powiedzieć

– Obiecuj mi, że wrócisz.

Stanowczym, surowym głosem.

– Obiecuj mi, że wrócisz.

W ciemności Hervé Joncour odpowiedział

– Obiecuję ci to.

10 października 1864 roku Hervé Joncour wyruszył w swoją czwartą podróż do Japonii. Przekroczył granicę francuską koło Metz, minął Wirtembergię i Bawarię, znalazł się w Austrii, pociągiem dojechał do Wiednia i Budapesztu, a potem dalej, aż do Kijowa. Przejechał konno dwa tysiące kilometrów rosyjskiego stepu, minął Ural, znalazł się na Syberii, po czterdziestu dniach drogi przybył nad jezioro Bajkał, które miejscowa ludność nazywała świętym. Z biegiem rzeki Amur, wzdłuż chińskiej granicy dotarł do oceanu i zatrzymał się w porcie Sabirk, gdzie spędził osiem dni w oczekiwaniu na statek holenderskich przemysłowców, który dowiózł go do przylądka Teraya na zachodnim wybrzeżu Japonii. Konno, bocznymi drogami, przemierzył prowincje Ishikawa, Toyama, Niigata i znalazł się w prowincji Fukushima. Gdy dotarł do Shirakawy, ujrzał miasto na wpół zburzone i garnizon wojsk rządowych rozłożony obozem wśród gruzów. Okrążył miasto od wschodu i na próżno czekał przez pięć dni na wysłannika Hara Keia. Szóstego dnia o świcie ruszył na północ, ku wzgórzom. Miał kilka bardzo niedokładnych map i to, co mu zostało ze wspomnień. Błądził przez wiele dni, aż do chwili, gdy rozpoznał rzekę, potem las, a potem drogę. Na końcu drogi znalazł miasteczko Hara Keia, kompletnie spalone: domy, drzewa, wszystko.

Nic nie zostało.

Nie było żywej duszy.

Hervé Joncour stał nieruchomo, patrząc na to ogromne wygasłe pogorzeliisko. Miał za sobą osiem tysięcy kilometrów drogi. A przed sobą pustkę. Nagle ujrzał to, co wydawało mu się niewidzialne.

Koniec świata.

Hervé Joncour pozostał przez wiele godzin wśród ruin miasteczka. Nie był w stanie odejść, choć wiedział, że każda godzina, którą tu traci, może oznaczać katastrofę dla niego i dla całego Lavilledieu: nie miał jajeczek jedwabników, a gdyby nawet je znalazł, miał już tylko dwa miesiące, by przejechać przez cały świat, zanim otworzą się w drodze i zamienią w kłęb bezużytecznych larw. Nawet jeden dzień opóźnienia mógł oznaczać koniec. Wiedział o tym, ale nie mógł odejść. I został tam, póki nie zdarzyło się coś zaskakującego i niedorzecznego: nagle z pustki wyłonił się mały chłopiec. Okryty łachmanami, szedł powoli, patrząc na cudzoziemca ze strachem. Hervé Joncour nie poruszył się. Chłopiec postąpił jeszcze kilka kroków i stanął. Patrzyli na siebie z odległości kilku metrów. Potem chłopiec wydobył coś spod łachmanów, trzęsąc się ze strachu podszedł do Hervé Joncoura i podał mu to. Rękawiczka. Hervé Joncour przypomniał sobie brzeg jeziora i rzuconą na ziemię pomarańczową suknię, i małe, jakby przysłane skądś z daleka fale, które na brzeg jeziora kładły wodę. Wziął rękawiczkę i uśmiechnął się do chłopca.

– To ja, Francuz... człowiek od jedwabiu, Francuz, rozumiesz?... to ja.

Chłopiec przestał się trząść.

– Francuz...

Oczy miał mokre, ale śmiał się. Zaczął mówić, szybko, prawie krzycząc, i pobiegł, dając Hervé Joncourowi znaki, by szedł za nim. Zniknął na ścieżce prowadzącej w las, w kierunku gór.

Hervé Joncour nie poruszył się. Obracał w dłoniach rękawiczkę, jakby to była jedyna rzecz pozostała po świecie, który zniknął. Wiedział, że teraz jest już za późno. I że nie ma wyboru.

Podniósł się. Wolno podszedł do konia. Wskoczył na siodło. A potem zrobił coś dziwnego. Ścisnął piętami brzuch zwierzęcia. I ruszył. W stronę lasu, za chłopcem, poza koniec świata.

Jechali kilka dni na północ, górami. Hervé Joncour nie wiedział, dokąd zmierzają: ale pozwolił się prowadzić chłopcu, nie próbując pytać go o nic. Napotkali dwie wioski. Ludność chowała się do domów. Kobiety uciekały. Chłopiec wykrzykiwał za nimi niezrozumiałe słowa i szalenie go to bawiło. Nie miał więcej jak czternaście lat. Dmuchał ciągle w mały trzciniowy instrument, z którego dobywał głosy wszystkich ptaków świata. Wyglądał jak ktoś, kto robi najpiękniejszą rzecz w swoim życiu.

Piątego dnia dotarli na szczyt kolejnego wzgórza. Chłopiec wskazał jakiś punkt przed nimi, na drodze schodzącej w dolinę. Hervé Joncour wziął lunetę i zobaczył coś na kształt orszaku: zbrojni mężczyźni, kobiety i dzieci, wozy, zwierzęta. Całe miasteczko w marszu. Hervé Joncour poznał Hara Keia: jechał konno, w ciemnym stroju. Za nim kołysała się lektyka zamknięta z czterech stron tkaninami w jaskrawych kolorach.

46

Chłopiec zsunął się z konia, powiedział coś i uciekł. Zanim zniknął między drzewami, odwrócił się i przez chwilę próbował powiedzieć na migi, że była to piękna podróż.

– To była piękna podróż – krzyknął za nim Hervé Joncour.

Przez cały dzień Hervé Joncour podążał w pewnej odległości za karawaną. Gdy zobaczył, że zatrzymuje się na noc, jechał dalej, aż do chwili, gdy dwóch uzbrojonych mężczyzn wyszło mu naprzeciw, zabrało konia i bagaże i zaprowadziło do jakiegoś namiotu. Czekał długo. Potem pojawił się Hara Kei. Nie przywitał go. Nawet nie usiadł.

– Jak pan się tutaj znalazł, Francuzie?

Hervé Joncour nie odpowiedział.

– Zapytałem, kto pana tu przyprowadził.

Milczenie.

– Tutaj nie ma nic dla pana. Jest tylko wojna. I to nie pańska wojna. Proszę stąd odejść.

Hervé Joncour wyciągnął małą skórzaną sakiewkę, otworzył ją i wysypał na ziemię zawartość. Złote krążki.

– Wojna to kosztowna gra. Pan mnie potrzebuje. A ja potrzebuję pana.

Hara Kei nie spojrzał nawet na rozsypane po ziemi złoto. Odwrócił się i wyszedł.

Hervé Joncour spędził noc na skraju obozu. Nikt się do niego nie odezwał, udawali, że go nie widzą. Wszyscy spali na ziemi, przy ogniskach. Były tylko dwa namioty. Obok jednego z nich Hervé Joncour ujrzał pustą lektykę: na czterech rogach zawieszono były małe klatki: ptaki. Z prętów klatek zwisały małe złote dzwoneczki. Dźwięczały cichutko w podmuchach nocnej bryzy.

Kiedy się obudził, zobaczył wokół siebie miasteczko szykujące się do odmarszu. Nie było już namiotów. Lektyka stała jeszcze na swoim miejscu, otwarta. Ludzie milcząco wsiadali na wozy. Wstał i długo się rozglądał, ale oczy, które napotykały jego wzrok i zaraz się odwracały, miały wszystkie wykrój orientalny. Zobaczył uzbrojonych mężczyzn i dzieci, które nie płakały. Zobaczył nieme twarze ludzi zmuszonych do ucieczki. I zobaczył drzewo na skraju drogi. I wiszącego na gałęzi chłopca, który go tu przyprowadził.

Hervé Joncour podszedł i przez długą chwilę patrzył jak zahipnotyzowany. Potem odwiązał sznur przymocowany do drzewa, chwycił ciało chłopca, położył je na ziemi i klęknął obok niego. Nie mógł oderwać oczu od tej twarzy. I dlatego nie zobaczył, jak miasteczko rusza w drogę, słyszał tylko, jakby z daleka, odgłosy tej procesji, wychodzącej tuż obok niego na trakt. Nie podniósł oczu nawet wtedy, gdy o krok od siebie usłyszał głos Hara Keia, który mówił

– Japonia to stary kraj, wie pan o tym? Jej prawo jest stare: głosi, że istnieje dwanaście przestępstw, za które wolno skazać człowieka na śmierć. Jednym z nich jest dostarczenie miłosnego przesłania od swojej pani.

Hervé Joncour nie oderwał oczu od zamordowanego chłopca.

– Nie miał przy sobie żadnego miłosnego przesłania.

– On był miłosnym przesłaniem.

Hervé Joncour poczuł, że coś naciska mu na kark i przygina głowę ku ziemi.

– To strzelba, Francuzie. Niech pan nie patrzy, bardzo proszę.

Zrazu Hervé Joncour nie zrozumiał. Potem, w szmerze uciekającej procesji, usłyszał złocisty dźwięk tysiąca maleńkich dzwoneczków, który zbliżał się powoli, krok po kroku zmierzał w jego stronę i choć w oczach miał tylko ciemną ziemię, mógł sobie wyobrazić tę lektykę, kołyszącą się jak wahadło, i niemal widzieć, jak nadciąga drogą, metr po metrze, coraz bliższa, powoli, lecz nieubłaganie, niesiona tym dźwiękiem, który staje się coraz głośniejszy, nieznośnie głośny, coraz bliższy, tak bliski, że aż namacalny, złocisty huk, tuż przed nim, teraz, dokładnie przed nim – w tej właśnie chwili – ta kobieta – przed nim.

Hervé Joncour podniósł głowę.

Cudowne tkaniny, jedwab wokół całej lektyki, tysiące kolorów, pomarańczowy, biały, ochra, srebrny, ani jednej szpary w tym cudownym gnieździe, tylko szelest barw falujących w powietrzu, nieprzeniknionych, lżejszych niż sama nicłość.

Hervé Joncour nie usłyszał eksplozji, która by zdruzgotała jego życie. Słyszał, jak dźwięk się oddala, poczuł, że lufa strzelby odrywa się od niego, i dobiegł go głos Hara Keia, mówiący cicho

– Proszę stąd odejść, Francuzie. I nigdy już nie wracać.

Wzdłuż drogi tylko cisza. Ciało chłopca na ziemi. Klęczący mężczyzna. Aż po ostatnie blaski dnia.

Droga do Jokohamy zajęła Hervé Joncourowi jedenaście dni. Przekupił japońskiego funkcjonariusza i zdobył szesnaście kartonów jajeczek jedwabników, pochodzących z południowej części wyspy. Owinął je w kawałki jedwabiu i zamknął w czterech okrągłych drewnianych pudłach, które opatrzył pieczęciami. Znalazł statek płynący na kontynent i na początku marca wylądował na wybrzeżu rosyjskim. Wybrał drogę przez tereny północne, szukając chłodu, który by zablokował życie jajeczek i opóźnił termin wyklucia się larw. Przebył w pośpiechu cztery tysiące kilometrów Syberii, minął Ural i dotarł do Petersburga. Kupił parę kwintali lodu na wagę złota i załadował go, razem z jajeczkami, na statek handlowy płynący do Hamburga. Płynął sześć dni. Wylądował cztery okrągłe pudła i wsiadł do pociągu jadącego na południe. Po jedenastu godzinach podróży, tuż po odjeździe ze stacji, która nazywała się Eberfeld, pociąg zatrzymał się, by nabrać wody. Hervé Joncour rozejrzał się wkoło. Łany zboża, i cały świat, tonęły w letnim słońcu. Naprzeciw niego siedział rosyjski kupiec: zdjął buty i wachlował się ostatnią stroną jakiejś niemieckiej gazety. Hervé Joncour zaczął mu się przyglądać. Zobaczył plamy potu na koszuli i krople perlące się na czole i szyi. Rosjanin powiedział coś ze śmiechem. Hervé Joncour uśmiechnął się do niego, wstał, wziął swoje bagaże i wysiadł z pociągu. Przeszedł wzdłuż wagonów, aż do ostatniego, bagażowego, który wiozł ryby i mięso zamrożone w lodzie. Ciekła z niego woda, jak z miski podziurawionej tysiącem kul. Otworzył drzwi, wsiadł do wagonu, wyniósł jedno po drugim swoje okrągłe drewniane pudła i złożył je na ziemi przy torach. Po czym zamknął drzwi z powrotem i czekał. Kiedy pociąg był już gotów do odjazdu, zaczęto na niego wołać, żeby szybko wsiadał. W odpowiedzi pokręcił przecząco głową i uniósł rękę w geście pożegnania. Widział, jak pociąg oddala się i znika. Zaczekał, aż ucichnie stukot kół. Potem schylił się nad jednym z drewnianych pudeł, zdjął pieczęcie i otworzył. To samo zrobił z innymi. Powoli, starannie.

Tysiące larw. Nieżywych.

Był 6 maja 1865 roku.

51

Dziewięć dni później Hervé Joncour wjechał do Lavilledieu. Jego żona Hélène ujrzała z daleka karetę jadącą zadrzewioną aleją ku willi. Powiedziała sobie, że nie wolno jej płakać i nie wolno uciec.

Zeszła aż do drzwi wejściowych, otworzyła je i zatrzymała się w progu.

Kiedy Hervé Joncour stanął przed nią, uśmiechnęła się. A on, obejmując ją, powiedział cicho

– Proszę cię, zostań ze mną.

Nocą długo nie kładli się spać, siedzieli na trawniku przed domem obok siebie. Hélène opowiadała o Lavilledieu i o wszystkich tych miesiącach oczekiwania, i o ostatnich strasznych dniach.

– Ty nie żyjeś.

Powiedziała.

– I świat nie miał już w sobie nic pięknego.

Na farmach w Lavilledieu ludzie patrzyli na morwy pokryte gęstym listowiem i widzieli własną ruinę. Baldabiou zdobył kilka partii jajeczek, ale larwy ginęły natychmiast po przyjsciu na świat. Jedwabny surowiec, jaki udało się uzyskać z tych nielicznych, które wyżyły, wystarczył zaledwie dla dwu z siedmiu okolicznych przędzalni.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał Baldabiou.

– Jeden – odparł Hervé Joncour.

Następnego dnia oświadczył, że w ciągu tych letnich miesięcy będzie zakładał przy willi ogród. Wynajął dziesiątki kobiet i mężczyzn z całej okolicy. Wycięto las na wzgórzu, łagodząc zarys zbocza, które teraz miękką linią opadało ku dolinie. Drzewa i żywopłoty wytyczyły na ziemi lekkie, ażurowe labirynty. Kwiaty najróżniejszych gatunków napełniły klomby otwierające się niespodzianie, jak polany, pośrodku brzozowych zagajników. Doprowadzono od rzeki wodę, która popłynęła kaskadami w dół, na zachodni kraniec ogrodu, gdzie utworzyła niewielkie, otoczone łąkami jezioro. Od strony południowej, pośród oliwek i drzew cytrynowych, wzniesiono wielką woliere z drewna i żelaza; przypominała zawieszony w powietrzu haft.

Prace trwały cztery miesiące. W końcu września ogród był gotowy. Nikt w Lavilledieu nie widział nigdy nic podobnego. Mówiono, że Hervé Joncour wydał na to cały swój kapitał. Mówiono również, że wrócił z Japonii jakiś inny, może chory. Mówiono, że sprzedał jajeczka Włochom i teraz posiada ogromny majątek w złocie, który czeka na niego w paryskich bankach. Mówiono, że gdyby nie jego ogród, ludzie pomarliby tego roku z głodu. Mówiono, że jest oszustem. Mówiono, że jest świętym. Niektórzy mówili: coś mu jest, wygląda, jakby był nieszczęśliwy.

O swojej podróży Hervé Joncour powiedział jedynie, że jajeczka otworzyły się w pewnej miejscowości pod Kolonią i że miejscowość ta nazywa się Eberfeld.

W cztery miesiące i trzynaście dni po jego powrocie Baldabiau usiadł przed nim na brzegu jeziora, na zachodnim krańcu ogrodu, i powiedział

– Wcześniej czy później komuś przecież będziesz musiał wyznać prawdę.

Powiedział to cicho, z wysiłkiem, bo nigdy nie wierzył, że prawda może się na coś przydać.

Hervé Joncour podniósł wzrok na ogród.

Była jesień i wszystko wokół tonęło w zwodniczym świetle.

– Kiedy po raz pierwszy ujrzałem Hara Keia, ubrany był w ciemną tunikę, siedział ze skrzyżowanymi nogami, nieruchomo, w rogu pokoju. Przy nim, z głową opartą na jego kolanach, leżała kobieta. Jej oczy nie miały wykroju orientalnego, a jej twarz była twarzą małej dziewczynki.

Baldabiau słuchał w milczeniu, aż do końca, aż do pociągu w Eberfeld. Nie myślał o niczym. Słuchał.

Było mu dziwnie przykro, gdy Hervé Joncour powiedział w końcu cicho

– Nawet nigdy nie słyszałem jej głosu.

A po chwili:

– To dziwne cierpienie.

Cicho.

– Umierać z tęsknoty za czymś, czego nigdy nie przeżyjesz.

Wrócili przez ogród, idąc obok siebie. Jedyne, co Baldabiau powiedział, to

– Ale dlaczego, u diabła, jest tak cholernie zimno?

Powiedział to po dłuższej chwili.

Na początku nowego roku – 1866 – Japonia wyraziła zgodę na legalny eksport jajeczek jedwabników.

W następnym dziesięcioleciu sama Francja miała dokonać importu japońskich jajeczek za dziesięć milionów franków.

W 1869 roku, po otwarciu Kanału Sueskiego, dotarcie do Japonii miało zresztą zajmować nie więcej jak dwadzieścia dni. A powrót niecałe dwadzieścia.

W 1884 roku pewien Francuz nazwiskiem Chardonnet uzyskał patent na sztuczny jedwab.

Sześć miesięcy po powrocie do Lavilledieu Hervé Joncour otrzymał pocztą kopertę w kolorze musztardy. Po otwarciu znalazł w niej siedem kartek pokrytych gęstym geometrycznym pismem: czarny atrament: japońskie ideogramy. Poza nazwiskiem i adresem na kopercie nie było ani jednego słowa pisanego alfabetem zachodnim. Sądząc ze znaczków, list musiał być nadany w Ostendzie.

Hervé Joncour przerzucił kartki, a potem długo się im przypatrywał. Wyglądały jak zestawiony z pedantycznym szaleństwem katalog śladów ptasich nóżek. Zdumiewająca była myśl, że to jednak znaki słowne: popiół spalonego głosu.

Przez wiele dni Hervé Joncour nosił złożony we czworo list przy sobie, w kieszeni. Jeśli zmieniał ubranie, przekładał go do nowej marynarki. Nigdy go nie rozłożył, by na niego popatrzeć. Czasami, rozmawiając z dzierżawcą czy siedząc na werandzie w oczekiwaniu na kolację, obracał go w palcach. Pewnego wieczoru obejrzał go pod światło przy lampie w swoim gabinecie. Prześwitujące przez papier ślady maleńkich ptaszków przemawiały niewyraźnym głosem. Czy mówiły coś zupełnie nieistotnego, czy też coś, co mogło wstrząsnąć całym życiem: nie sposób było odgadnąć i to się Hervé Joncourowi podobało. Usłyszał kroki Héléne. Położył list na stole. Ona zbliżyła się i jak co wieczór, przed odejściem do swego pokoju, chciała go pocałować. Kiedy pochyliła się nad nim, koszula nocna rozchyliła się nieznacznie z przodu. Hervé Joncour zobaczył, że nie ma nic pod spodem i że jej piersi są drobne i białe jak piersi dziewczynki.

Przez cztery dni prowadził życie jak zawsze i nic w regularnym rytmie jego dni nie uległo zmianie. Piątego dnia rano włożył elegancki szary garnitur i pojechał do Nîmes. Powiedział, że wróci przed wieczorem.

Na ulicy Moscat pod numerem 12 wszystko było jak przed trzema laty. Zabawa jeszcze się nie skończyła. Wszystkie dziewczęta były młode i były Francuzkami. Pianista grał niegłośno motywy w stylu rosyjskim. Może była to kwestia starości, a może jakiejś skrytej udręki, ale na zakończenie każdego kawałka nie przeczesywał już prawą ręką włosów i nie szeptał cicho

– *Voilà.*

Siedział w milczeniu, przypatrując się z zakłopotaniem swoim dłoniom.

Madame Blanche przyjęła go bez słowa. Włosy czarne, lśniące, twarz orientalna, bez skazy. Na palcach, jak pierścionki, małe niebieskie kwiatki. Suknia długa, biała. Prawie przezroczysta. Bose stopy.

Hervé Joncour usiadł naprzeciw niej. Wyciągnął z kieszeni list.

– Czy pani mnie pamięta?

Madame Blanche skłoniła o milimetr głowę.

– Znowu potrzebuję pani pomocy.

Podał jej list. Nie miała najmniejszego powodu, by to uczynić, ale wzięła go i otworzyła. Obejrzała siedem kartek, jedną po drugiej, po czym podniosła wzrok na Hervé Joncoura.

– Ja nie lubię tego języka, *monsieur*. Chcę o nim zapomnieć i chcę zapomnieć o tamtej ziemi i o moim tamtejszym życiu, i o wszystkim.

Hervé Joncour siedział nieruchomo, z rękami zaciśniętymi na poręczach fotela.

– Ja przeczytam panu ten list. Zrobię to. I nie chcę pieniędzy. Ale chcę, żeby pan mi coś obiecał: że nigdy więcej pan mnie o to nie poprosi.

– Obiecuję to pani, *madame*.

Spojrzała mu w oczy. Potem opuściła wzrok na pierwszą stronę listu: ryżowy papier, czarny atrament.

– *Ukochany mój panie,*

Powiedziała

– *nie bój się, nie poruszaj, nic nie mów, nikt nas nie zobaczy.*

Zostań tak, chcę na ciebie patrzeć, tyle razy na ciebie patrzyłam, ale nie byłeś dla mnie, teraz jesteś dla mnie, nie zbliżaj się, proszę, zostań, gdzie jesteś, mamy dla siebie całą noc i chcę na ciebie patrzeć, nigdy cię takim nie widziałam, twoje ciało dla mnie, twoja skóra, zamknij oczy i pieść się, proszę,

powiedziała Madame Blanche, Hervé Joncour słuchał,
nie otwieraj oczu, jeśli możesz, i pieść się, twoje ręce są takie piękne, tyle razy o nich śniłam, a teraz chcę je widzieć, lubię je widzieć na twojej skórze, o tak, proszę cię, nie przerywaj, nie otwieraj oczu, ja jestem tutaj, nikt nas nie może zobaczyć, a ja jestem przy tobie, pieść się, panie mój ukochany, pieść swój członek, proszę cię, powoli,

przerwała, a on powiedział Niech pani czyta dalej, proszę,
piękna jest twoja dłoń na twoim członku, nie przerywaj, lubię na nią patrzeć i patrzeć na ciebie, panie mój ukochany, nie otwieraj oczu, jeszcze nie, nie powinienes się bać, jestem przy tobie, słyszysz mnie? jestem tutaj, mogę cię dotknąć, to jest jedwab, czujesz go? to jedwab mojej sukni, nie otwieraj oczu, a będziesz miał moją skórę,

powiedziała, czytała cicho, głosem kobiety-dziecka,
będziesz miał moje wargi, najpierw dotknę cię wargami, nie będziesz wiedział gdzie, w pewnej chwili poczujesz ciepło moich warg na sobie, nie dowiesz się gdzie, jeśli nie otworzysz oczu, nie otwieraj ich, nie wiesz gdzie, ale nagle poczujesz moje usta,

on słuchał nieruchomo, z kieszonki szarego garnituru wystawała biała, niepokalanie czysta chusteczka,

może to będą twoje oczy, położę usta na powiekach i rzęsach, poczujesz ciepło wnikaające w twoją głowę, a moje usta w twoje oczy, do środka, a może będzie to twój członek, położę na nim moje wargi i rozchylę je, przesuważąc powoli w dół,

powiedziała, głowę miała schyloną nad kartkami, jedną ręką muskała powoli szyję,
pozwolę, by twój członek uchylił moje usta, wchodząc między wargi i naciskając na język, moja ślina spłynie po twojej skórze aż do dłoni, mój pocałunek i twoja dłoń, jedno w drugim, na twoim członku,

on słuchał, wzrok miał utkwiony w pustą srebrną ramkę wiszącą na ścianie,

i wreszcie, na końcu, pocałuję cię w serce, bo cię kocham, będę gryźć skórę drgającą na twoim sercu, bo cię kocham, a kiedy twoje serce będzie między moimi wargami, będziesz mój, naprawdę, kiedy moje usta znajdą się na twoim sercu, będziesz mój, na zawsze, jeśli nie wierzysz, otwórz oczy, ukochany mój panie, i spójrz na mnie, to ja, czy ktoś kiedykolwiek będzie mógł wymazać tę chwilę, która właśnie trwa, i to moje ciało już bez jedwabiu, twoje ręce, które je dotykają, twoje oczy, które na nie patrzą,

powiedziała, pochyliła się ku lampie, światło padało na kartki i przenikało na wylot jej przezroczystą suknię,

twoje palce we mnie, twój język na moich wargach, wślizgujesz się pode mnie, chwytasz moje biodra, unosisz mnie, opuszczasz na swój członek, powoli, czy ktoś kiedykolwiek będzie to mógł wymazać, poruszasz się we mnie powoli, twoje ręce na mojej twarzy, twoje palce w moich ustach, rozkosz w twoich oczach, twój głos, poruszasz się powoli, ale aż do bólu, moja rozkosz, mój głos,

on słuchał, w pewnej chwili odwrócił się, by na nią spojrzeć, zobaczył ją, chciał spuścić oczy, ale nie zdołał,

moje ciało na twoim, twoje plecy, które mnie unoszą, twoje ramiona, które mnie trzymają, te pchnięcia wewnątrz mnie, to słodka przemoc, widzę twoje oczy szukające czegoś w moich, chcę wiedzieć, dokąd możesz się posunąć w zadawaniu mi bólu, dokąd chcesz, ukochany mój panie, czy nie widzisz, że nie ma końca, że nigdy się nie skończy? nikt nie będzie mógł wymazać tej chwili, która właśnie się dzieje, na zawsze odrzucisz głowę do tyłu, krzyząc, na zawsze zamknę oczy, strącając łzy z rzes, mój głos w twoim, twoja przemoc trzyma mnie mocno, nie ma już czasu na ucieczkę ani siły na opór, ta chwila musiała przyjść i ta chwila nadeszła, wierz mi, ukochany mój panie, ta chwila trwać będzie, odtąd już będzie trwać aż do końca,

powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem i urwała.

Nie było innych znaków na kartce, którą trzymała w ręku: ostatniej. Ale kiedy ją odwróciła, by odłożyć, ujrzała jeszcze kilka linijek, skreślonych czarnym atramentem na środku białej strony. Podniosła wzrok na Hervé Joncoura. Jego oczy patrzyły na nią i zdała sobie sprawę, że są to oczy przepiękne. Opuściła wzrok na kartkę.

– *Nie zobaczymy się już, panie.*

Powiedziała.

– *To, co mieliśmy zrobić, zrobiliśmy, i ty wiesz o tym. Wierz mi: zrobiliśmy to na zawsze. Żyj, jak dotąd żyłeś, z dala ode mnie. I jeśli twoje szczęście będzie tego wymagać, nie wahaj się ani przez chwilę zapomnieć o tej kobiecie, która teraz, bez żalu, mówi ci: żegnaj.*

Przez jakiś czas przyglądała się kartce, po czym położyła ją na innych, obok siebie, na stoliku z jasnego drewna. Hervé Joncour nie poruszył się. Odwrócił tylko głowę i spuścił oczy. Wpatrywał się nieporuszenie w kant spodni na prawej nodze, ledwo widoczny, lecz nienaganny, biegnący od pachwiny do kolana.

Madame Blanche wstała, pochyliła się nad lampą i zgasiła ją. W pokoju pozostało tylko trochę światła, które z salonu, przez okno, docierało aż tutaj. Podeszła do Hervé Joncoura, zsunęła z palców pierścionek z maleńkich niebieskich kwiatków i położyła przy nim. Potem przeszła przez pokój, otworzyła ukryte w ścianie małe pomalowane drzwi i zniknęła, nie domykając ich za sobą.

Hervé Joncour długo siedział w tym dziwnym świetle, obracając w palcach pierścionek z maleńkich niebieskich kwiatków. Z salonu dopływały dźwięki znużonego fortepianu: rozpraszały czas tak, że stawał się prawie nie do rozpoznania.

W końcu wstał, zbliżył się do stolika z jasnego drewna i zebrał siedem kartek ryżowego papieru. Przeszedł przez pokój, nie odwracając się, minął małe niedomknięte drzwiczki i wyszedł.

Hervé Joncour spędził następne lata, prowadząc świadomie pogodne życie człowieka, który nie ma już potrzeb. Jego dni miały pod osłoną umiarkowanych emocji. Ludzie z Lavilledieu znów zaczęli go podziwiać, bo wydawało im się, że widzą w nim i d e a l n y wzorzec życia na tym świecie. Mówili, że taki był już w młodości, zanim pojechał do Japonii.

Nabrał zwyczaju wyjeżdżania co roku z żoną Héléne w małą podróż. Zwiedzili Neapol, Rzym, Madryt, Monachium, Londyn. Któregoś roku zapuścili się aż do Pragi, gdzie wszystko przypominało teatr. Podróżowali bez dat i bez planów. Wszystko ich zdumiewało: po kryjomu nawet ich własne szczęście. Kiedy zaczynali tęsknić za ciszą, wracali do Lavilledieu.

Gdyby ktoś go o to zapytał, Hervé Joncour odpowiedziałby, że zawsze prowadzić będą takie życie. Miał w sobie niewzruszony spokój ludzi, którzy czują się na swoim miejscu. Co jakiś czas, w wietrzne dni, szedł przez ogród do jeziora: całymi godzinami tkwił na brzegu i patrzył, jak powierzchnia wody marszczy się, tworząc zaskakujące połyskliwe figury, które pojawiały się nagle, niespodzianie, ze wszystkich stron. Wiatr był jeden: ale na tym wodnym lustrze było tak, jakby wiało ich tysiąc. Ze wszystkich stron. Prawdziwy spektakl. Ulotny i niewytłumaczalny.

Co jakiś czas, w wietrzne dni, Hervé Joncour schodził nad jezioro i wpatrywał się w nie całymi godzinami, miał bowiem wrażenie, że na wodzie rysuje się ulotny i niewytłumaczalny spektakl, jakim było jego życie.

61

16 czerwca 1871 roku na zapleczu kawiarni Verduna, gdy zbliżało się południe, jednorękiemu udało się niewiarygodne uderzenie o cztery bandy z rotacją wsteczną. Baldabiau stał nadal pochylony nad stołem, z jedną ręką założoną na plecy, drugą zaciśniętą na kiju, nie wierząc własnym oczom.

– Coś podobnego.

Wyprostował się, odłożył kij i wyszedł bez pożegnania. Trzy dni później wyjechał. Swoje dwie przedzalnie podarował Hervé Joncourowi.

– Nie chcę już słyszeć o jedwabiu, Baldabiau.

– To je sprzedaj, idioto.

Nikommu nie udało się z niego wyciągnąć, dokąd, u diabła, zamierza pojechać. No i co tam robić. Powiedział tylko coś o świętej Agnieszce, ale nikt tego dobrze nie zrozumiał.

Tego rana, gdy miał wyjechać, Hervé Joncour, razem z Héléne, odwiózł go na stację w Awinionie. Miał ze sobą tylko jedną walizkę i to także było dość trudne do wytłumaczenia. Gdy zobaczył stojący na peronie pociąg, postawił walizkę na ziemi.

– Poznałem kiedyś człowieka, który kazał sobie wybudować swoją własną kolej.

Powiedział.

– A najpiękniejsze było to, że kazał ją zrobić zupełnie prostą, setki kilometrów bez jednego zakrętu. To miało nawet jakieś uzasadnienie, ale nie pamiętam jakie. Nigdy nie pamięta się uzasadnień. W każdym razie: żegnajcie.

Nie był stworzony do poważnych przemówień. A pożegnanie to sprawa poważna.

Widzieli, jak oddala się, on i jego walizka, na zawsze.

Wówczas Héléne zrobiła coś dziwnego. Oderwała się od Hervé Joncoura i pobiegła za nim, dogoniła go i mocno objęła, a objąwszy, wybuchnęła płaczem.

Héléne nigdy nie płakała.

Hervé Joncour odsprzedał za śmieszłą cenę obie przedzalnie Michelowi Lariot, pocziwcowi, który przez dwadzieścia lat w każdy sobotni wieczór grał w domino z Baldabiau, przegrywając zawsze, z żelazną konsekwencją. Miał trzy córki. Dwie pierwsze nazywały się Florence i Sylvie. Ale trzecia: Agnieszka.

Trzy lata później, zimą 1874 roku, Hélène dostała zapalenia mózgu, którego żaden lekarz nie umiał wytłumaczyć ani leczyć. Umarła na początku marca, w deszczowy dzień.

Za trumną aleją cmentarza szło w milczeniu całe Lavilledieu: bo była to kobieta radosna, która nigdy nie zasiała cierpienia.

Hervé Joncour kazał wyryć na jej grobie tylko jedno słowo.

Hélas.

Podziękował wszystkim, powtarzając po tysiąc razy, że niczego mu nie potrzeba, i wrócił do domu. Nigdy nie wydał mu się on tak wielki: i nigdy tak nielogiczny jego własny los.

Ponieważ rozpacz była zbyt ciężkim, nieleżącym w jego naturze, skupił się nad tym, co mu z życia zostało, i znów zaczął się o to troszczyć, z niezachwianym uporem ogrodnika, który podejmuje pracę rankiem po burzy.

Dwa miesiące i jedenaście dni po śmierci Héléne zdarzyło się, że Hervé Joncour poszedł na cmentarz i obok róż, które co tydzień składał na grobie żony, znalazł wianuszek z maleńkich niebieskich kwiatków. Schylił się, by je obejrzeć z bliska, i długo pozostał w tej pozycji: z daleka, w oczach ewentualnych świadków, musiało to wyglądać bardzo dziwnie, jeśli nie wręcz śmiesznie. Po powrocie do domu nie wyszedł popracować do ogrodu, jak to miał w zwyczaju, ale został w swoim gabinecie, by zebrać myśli. Przez wiele dni nie robił nic innego. Myślał.

Na ulicy Moscat, pod dwunastym, znalazł pracownię krawiecką. Powiedziano mu, że Madame Blanche nie mieszka tu już od lat. Udało mu się dowiedzieć, że przeniosła się do Paryża, gdzie została utrzymanką jakiegoś bardzo ważnego człowieka, być może polityka.

Hervé Joncour pojechał do Paryża.

Sześć dni zajęło mu odszukanie jej adresu. Posłał jej bilecik z prośbą, by zechciała go przyjąć. Odpowiedziała, że oczekuje go następnego dnia o czwartej. O wyznaczonej godzinie wszedł na drugie piętro eleganckiej kamienicy przy bulwarze des Capucines. Drzwi otworzyła mu pokojówka. Wprowadziła go do salonu i poprosiła, by usiadł. Madame Blanche zjawiała się ubrana w bardzo elegancką i bardzo francuską suknię. Włosy, paryską modą, opadały jej na ramiona. Nie miała na palcach pierścionków z niebieskich kwiatków. Bez słowa usiadła naprzeciw Hervé Joncoura. I czekała.

On spojrzał jej w oczy. Ale tak, jak by to mogło zrobić dziecko.

– To pani napisała ten list, prawda?

Powiedział.

– Hélène poprosiła panią o napisanie go i pani to zrobiła.

Madame Blanche siedziała nadal nieruchomo, nie opuszczając wzroku, nie okazując najmniejszego zdumienia. Potem powiedziała

– To nie ja go napisałam.

Milczenie.

– Ten list napisała Hélène.

Milczenie.

– Miała go już, kiedy do mnie przyszła. Poprosiła, żebym go przepisała po japońsku. I ja to zrobiłam. Taka jest prawda.

Hervé Joncour zrozumiał wówczas, że już przez całe życie będzie słyszał te słowa. Podniósł się, ale stał nieruchomo, jakby nagle zapomniał, dokąd ma iść. Jakby gdzieś z daleka dobiegł go głos Madame Blanche.

– Postanowiła mi nawet ten list przeczytać. Miała przepiękny głos. I czytała te słowa ze wzruszeniem, którego nigdy nie mogłam zapomnieć. Jakby to były naprawdę jej słowa.

Hervé Joncour szedł przez pokój bardzo wolnym krokiem.

– Wie pan, *monsieur*, ja sędę, że ona niczego nie pragnęła tak bardzo, jak b y ć t ą k o b i e t ą . Pan nie może tego zrozumieć. Ale ja słyshałam, jak czytała ten list. Ja wiem, że tak było.

Hervé Joncour znalazł się przed drzwiami. Położył dłoń na klamce. Nie odwracając się, powiedział cicho

– *Adieu, madame.*

Nie zobaczyli się nigdy więcej.

Hervé Joncour żył jeszcze dwadzieścia trzy lata, większość z nich w pogodzie ducha i dobrym zdrowiu. Nigdy już nie wyjechał z Lavilledieu i nigdy nie opuścił swego domu. Zarządzał rozważnie swoim majątkiem, dzięki czemu nie musiał już nigdy podejmować żadnej pracy, poza staraniem o własny ogród. Z czasem zaczął pozwalać sobie na przyjemność, której dawniej zawsze sobie odmawiał: tym, którzy przychodzili go odwiedzić, opowiadał o swoich podróżach. Słuchając go, ludzie z Lavilledieu uczyli się o świecie, a dzieci odkrywały, co to jest zachwyty. Opowiadał powoli, widząc w powietrzu rzeczy, których inni nie widzieli.

W niedzielę schodził do miasteczka na sumę. Raz w roku obchodził przedziałnie, by dotykać świeżo narodzonego jedwabiu. Kiedy samotność zaczynała mu ciążyć na sercu, szedł na cmentarz, by porozmawiać z Héléne. Resztę czasu pochłaniała mu liturgia nawyków, które nie pozwalały, by czuł się nieszczęśliwy. Co jakiś czas, w wietrzne dni, schodził nad jezioro i wpatrywał się w nie całymi godzinami, miał bowiem wrażenie, że na wodzie rysuje się ulotny, niewytłumaczalny spektakl, jakim było jego życie.